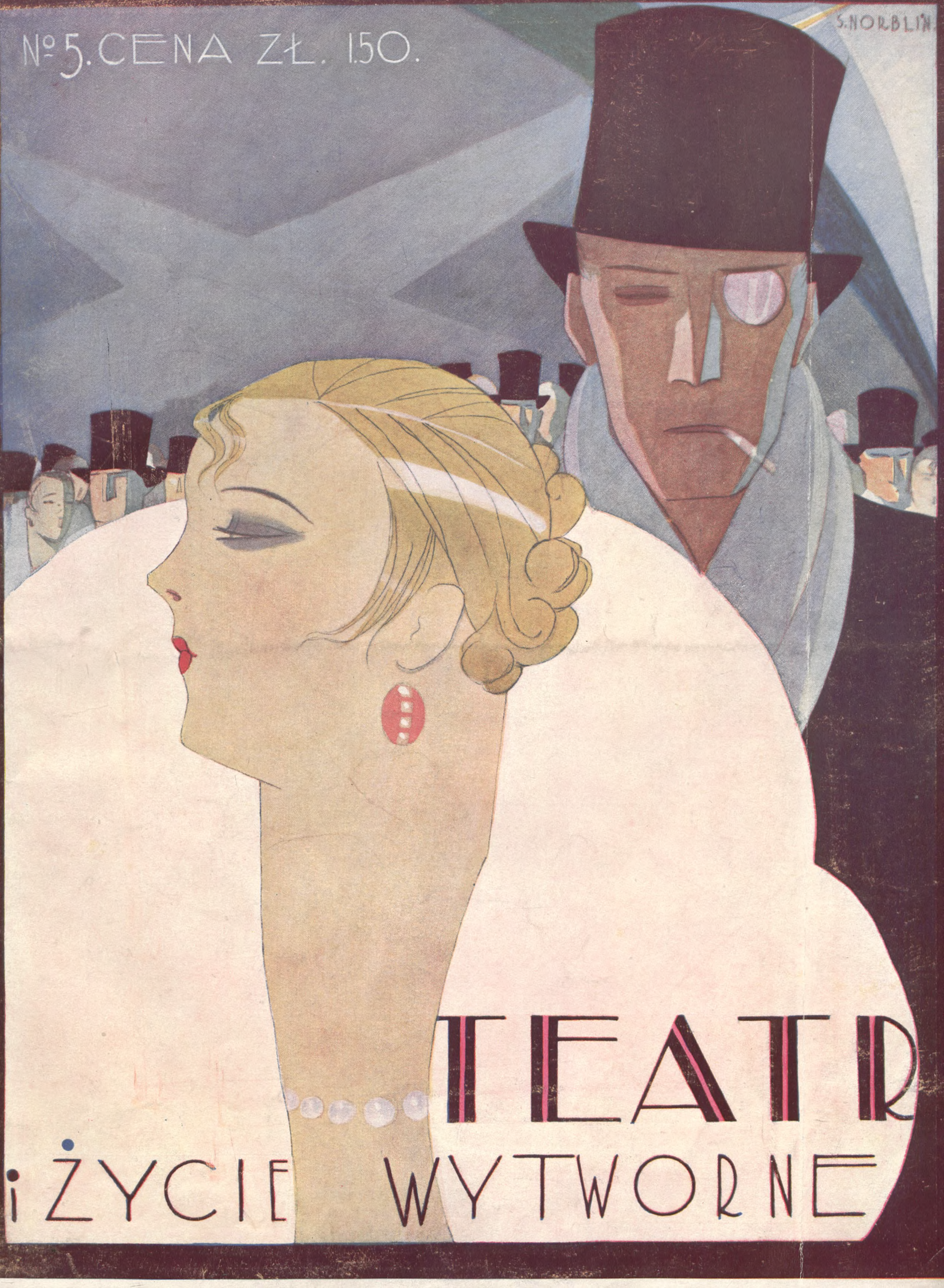

Nº 5. CENA ZŁ. 1.50.
S. NORBLIN
TEATR
i ŻYCIE WYTWORNE

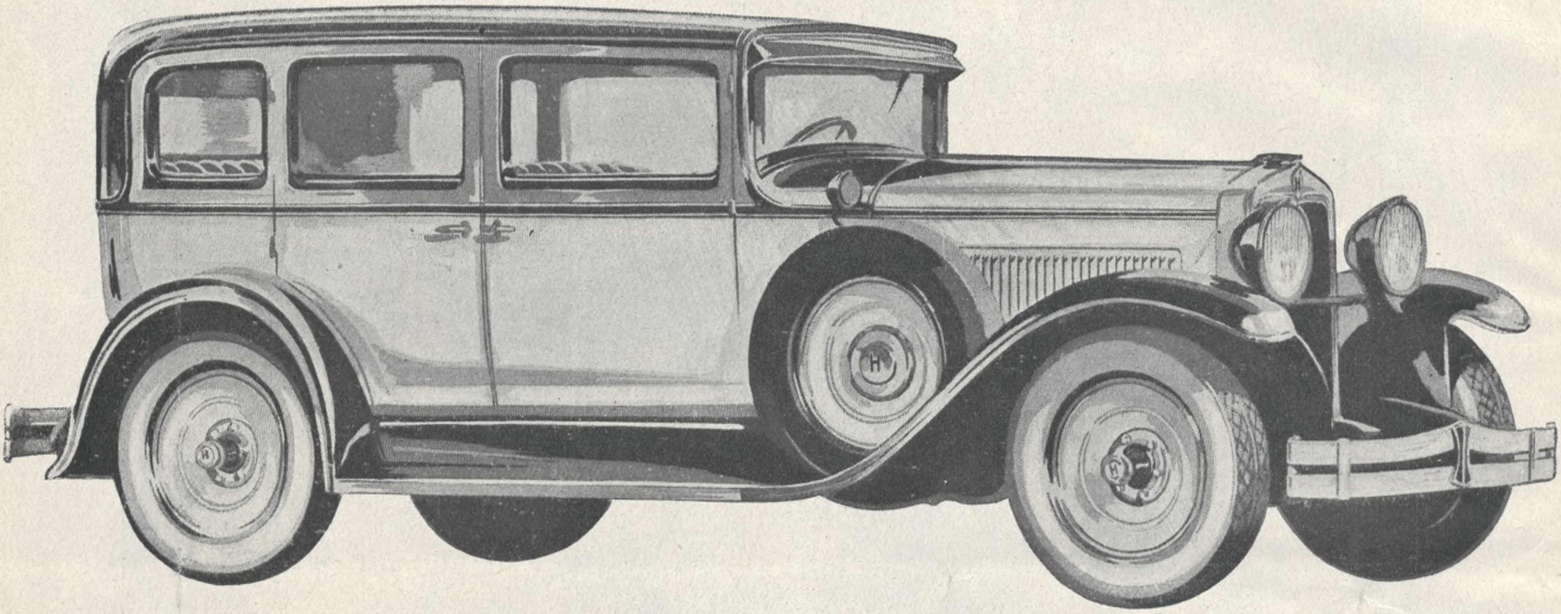

WSZĘDZIE PODZIWIANE
SAMOCHODY
Peugeot
NOWY MODEL PEUGEOT
WARSZAWA
MONIUSZKI 5.
I. HOLLAK

TEATR I ŻYCIE WYTWORNE

ROK II — CZASOPISMO ILUSTROWANE — № 5 (Marzec)



KOKIETERJA



75.000 SAMOCHODÓW

WYPRODUKOWAŁA FABRYKA HUPMOBILE ZANIM DOSZŁA DO DOSKONAŁOŚCI, KTÓRĄ PRZEDSTAWIA SOBĄ OSTATNI SZEŚCIOCYLINDROWY MODEL TEJ MARKI

JENERALNA REPREZENTACJA NA POLSKĘ I W. M. GDAŃSK:

TOWARZYSTWO IMPORTU SAMOCHODÓW AMERYKAŃSKICH

HUPMOBILE SP. Z O. O.

SALON WYSTAWOWY: WARSZAWA, UL. FOKSAL 12. TEL. 91-55 i 256-12

HUPMOBILE

1928 SIX

Teatr i Życie Wytworne

ROK II CZASOPISMO ILUSTROWANE № 5

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, CZACKIEGO Nr. 8. TELEFON 525-85



MARJA GORCZYŃSKA, artystka Teatrów Miejskich *Fot. Kirchner*

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

GANGRENA

— — — więcmójkochanybłagamcięnawszystkotylkosię niespóźnij! Jeżelibyśsięspóźniłzabiłabymciępotworze!!!

— Janka, na miłość Boską, wolniej!

— Niemamczasukarnawałucieka!

— Wolniej!

— Położę słuchawkę.

— Nie - mam cza - su kar - na - wał u - cie - ka! Ro - zu - miesz?

— Ro - - zu - - miem!

— Nareszcie!

— Nie widzę racji, dla której miałabyś się tak denerwować. Jest dopiero godzina 6-ta. Wsiadam do auta, jadę do Twojej krawcowej, za pół godziny powinienem być z powrotem...

— Ja oszaleję! Ja oszaleję! To umyślne cedzenie wyrazów doprowadza mnie do furji! Zrozum, że nie dość mieć suknię! Trzeba się w nią jeszcze ubrać! U b r a ć! Rozumiesz?

— Rozumiem. Tylko, że pod sukienkę balową nic się przecież nie kładzie.

— Owszem!

— Co?

— No, ten — — —

— Trykot?

— Jaki tam znów trykot?!

— Więc co?

— No, ten... Ach, Boże!.. No, ten... Fintitluszek!

— A, fintitluszek. To zajmuje akurat 10 sekund czasu.

— A reszta?

— Jaka znów reszta? Przed chwilą powiedziałaś mi przecież, że masz już na nóżkach pończoszki, pantofelki, że jesteś wymanicurowana, z r o b i o n a — — — Przywożę tę nieszczęsną suknię od Herminy, wrzucasz ją na siebie — — —

— Człowieku! Dzikusie! Krynoliny nie wrzuca się na siebie! Do tego jest potrzebna pomoc! Obca pomoc! A Zuzia jest taka niezgrabna!

— No, to ja Ci pomogę.

— Dziękuję! Wszystko mi pognieciesz! A pozatem, muszę się przecież później przejrzeć w lustrze... Poprawić...

— Powiedzmy, jeszcze minuta czasu.

— To wam wystarczy minuta na wasz banalny, głupi krawat. A my potrzebujemy więcej czasu. Ostatnim razem ubierałam się ł a p - c a p, naturalnie przez Ciebie, nie dopięłam ramiączka i byłabym zgubiła suknię na środku sali! Albo p r z y n a j m n i e j, stanik. Widzisz mnie, obnażoną do pasa?

— Widzę. Wyglądałabyś uroczo.

— J e s t e ś cyniczny!

— Zaczyna się.

— J e d ź - ż e do Herminy, błagam Cię! Jest już pół do siódmej!

— Nie. Dopiero 2 minuty po 6-ej.

— Ty mnie chyba do grobu wpędzisz!

— Jadę, jadę.

— Spiesz się!

— Dobrze! Ale założę się, że potem usiądziemy w salonie i będziemy się nudzili, jak mopsy, bo przyjdziesz do wniosku, że jeszcze zawcześnie i że wystarczy zupełnie, jeżeli się zjawimy na balu o — — —

— Dziś mamy ostatnią noc karnawałową! O 12-ej koniec wszystkiego!

— All right. «Koniec wszystkiego». Myślałby kto, że grzebiesz wielką miłość, Osiołku...

— Jeszcze słowo, a rozwodzę się z Tobą!

— Czemuż tego nikt nie słyszy! Gdybym miał świadka — — —

— Znowu zaczynasz?

— Nie. Kończę! Ha, ha!

(W pół godziny później).

— No, i cóż, Janeczko? Spisałem się dobrze?

— Dobrze, dobrze! — — — Zuziu, chodź, pomóż mi włożyć suknię. — — — Stefan, idź do salonu.

— Dobrze.

— Zaczekaj, mój Drogi! Proszę, zobacz, co ja mam na szyi?

— Brylant.

— Ależ, nie! Z tyłu!

— Meszek.

— Stefan, nie błaznuj!

— Już. Jestem poważny... Czekaj, pokaż... Nic nie masz na szyi.

— Jakto nic, kiedy wyczuwam palcem jakieś zgrubienie.

— Gdzie?

— Tu!

— Imaginacja.

— Napewno nic nie widać?

— Nic.

— Żadnego pryszczyka?

— Skąd Ty możesz mieć pryszczyk, Głuptasku! Wiesz sama, że masz dekolt, jak marmur.

— Oho, komplement? Patrzcie, patrzcie... Co Ci się stało?

— Niby to nie wiesz, że się zawsze zachwycam Twoją karnacją!

— Karnacja — co innego, a krostka — co innego. A zresztą, w ostatnich czasach zachwycałeś się nietylko m o j ą karnacją, ile karnacją tej idjotycznej Nelli!

— Przywidzenie.

— Już ja wiem, co mówię!

— Idę do salonu.

— A, właśnie! «Idę do salonu». Temat Steferzkowi, jak widzę, nie smakuje? Boże, jacy ci mężczyźni są obłudni! Nienawidzę Was! Wszystkich!

— Dziękuję w imieniu wszystkich.

— Wynoś się nareszcie! Nie mogę tak, półnaga, pozować Ci przez cały wieczór. To jest n a w e t nieprzyzwoite!

— Tu l'as voulu... Przyślij mi, proszę, Zuzię, kiedy Ci już będzie niepotrzebna.

— Dobrze, zaraz ją przyślę.



Lektura...

(W pół godziny później).

— Steeeefan!

— Hallo?

— Możesz wejść!

— — — — — — — — — — — —

— Jeszcze nie jesteś gotowa, Kobieto???

— Zuzia mówi, że miałam rację.

— Co do czego?

— Co do tego zgrubienia.

— I nad tem naradzałyście się przez cały czas?

— Nie naradzałyśmy się, tylko nacierała mi szyję wodą kolońską. Ale się zaczerwieniła.

— Woda kolońska?

— Te dowcipy! — — — Szyja.

— Nic dziwnego. Gdyby mnie ktoś szorował przez pół godziny — — — już nie wodą kolońską, a zwykłą wodą z kranu, teżby mi się zaczerwieniła skóra. Masz pomysły...

— Nie dowcipkuj, tylko powiedz: mogę z tem iść na bal, czy nie mogę?

— Możesz, naturalnie. Przecież to jest drobiazg

— Nic nie widać?

— Janeczko, jesteś dziecinna... Cóż może być widać?

— No, dobrze. W takim razie, posiedź jeszcze w salonie, albo u siebie, w gabinecie. Możesz poczytać Kurjera. Zaraz będę gotowa, tylko mnie Zuzia jeszcze przypudruje.

— Pozwól, ja Cię przypudruję.

— Nie, nie potrafisz. Trzeba bardzo umiejętnie!

— Trzeba, Kochanie. Tylko przypominam Ci, że jest już 8-a i że się przedtem okropnie śpieszyłaś...

— Zaraz będę gotowa!

(W pół godziny później).

— Steeeeefan!

— — — — — — — — — — — —

— Co się dzieje, u Boga Ojca? Ciągle n a g a?

— Stefan, ja chyba nie pójdę.

— Nie pójdziesz na bal? Dlaczego?

— Piecze mnie.

— Szyja?

— No, szyja! Zuzia lapisowała, ale jest jeszcze gorzej!

— La - pi - so - wa - ła?

— Lapisowała.

— Oszalałaś???

— Wcale nie. To czasem pomaga!

— Miałyście pudrować płynnym pudrem? Skąd teraz znowu lapis?

— Dla hygjeny.

— Szkoda, żeś się nie kazała posmarować kwasem siarczanym! — — Pokaż!

— Ostrożnie, boli!

— Ależ, Janeczko... Ja Cię jeszcze nie dotknąłem... Pozwól... Hm... Istotnie, bardzo zaczerwienione...

— Sam teraz przyznajesz, że nie mogę iść na bal!

— Nie. Tylko radzę Ci, żebyś zdjęła łańcuszek.

— Mam zdjąć pendantif?

— Zdejm.

— Platyna jest aseptyczna.

— Niewiem czy jest aseptyczna, ale w każdym razie ociera się o podrażnione miejsce i — — — lepiej, radzę, zdejm.

— Hm... Stefek, która to godzina?

— Pół do dziewiątej.

— No, to nie warto iść.

— Dlaczego? Do północy mamy jeszcze sporo czasu.

— Hm... Wiesz, odeszła mi ochota.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— A nie będziesz żałowała ostatniej zabawy w karnawale?

— Hm...

— Zastanów się, Dziecko.

— Hmm... Masz rację, szkoda sukni.

— O, widzisz! Szkoda sukni. Taka ładna sukienka. Tak-em się śpieszył, jadąc po nią do Herminy. Ubieraj się prędko — — — i jedźmy.

— Dobrze. Idź, ubieraj się. Ja... w te- chwili. Zuziu, daj mi suknię!

(W pół godziny później).

— Zuziu! Gdzie Pani? Upiekę się w tem futrze.

— Pani jest w łazience, proszę Pana.

— W łazience? Co Pani robi w łazience?

— Płacze!

— — — — — — — — — — — —

— Janeczko, co się stało? Maleńka, płaczesz???

— Ta... taka... jes... tem... bie... biedna...

— Co się stało? Co się stało? Co się stało?

— Zu... Zuzia przy... łożyła... tak, jak ją prosi... prosiłam... amo... amonjak i jest... jeszcze gorzej...

— Janeczko, jak mogłaś!

— Ja... Ja będę miała... Chy... Chyba gan... gan... gangrenę?



„Lektura..."

WĘGIERKO

Nie, nie chcę mówić o teatrze — odpowiedział p. Węgierko, gdy współpracownik naszego pisma zagadnął go o wrażenia z teatrów paryskich — wiem jak łatwo o nim mówić a jak trudno w nim coś zrobić.

Niech inni rozprawiają — ja zostanę przy mojej skromnej pracy. Będę z panem mówić o Paryżu, usłyszy pan same zachwyty.

Ale mnie interesują pana wrażenia o kolegach paryskich, pana jako aktora i reżysera?

W teatrze nie jestem ani jednym ani drugim — jestem widzem.

A więc zapytuję widza...

O widza? — dokończył z uśmiechem pan Węgierko. O publiczności paryskiej będę mówić bardzo chętnie.

Zaczynam od widowni. — Wnętrze większości teatrów paryskich okropne. Brzydkie, brudne i ciemne. Tłum ludzi uśmiechniętych... pogodnych... zdaje się że zapomnieli o swoich codziennych troskach, ubrani odświętnie wyglądają jak tłum wyległy na ulicę w dzień niedzielny. I tak we wszystkich teatrach czy to w «Komedji Francuskiej» czy teatrach «bulwarowych» czy na przedmieściu, nie mówię o «music-hallach» gdyż tam przewaga cudzoziemców.

Czy publiczność paryska bardzo się różni od publiczności warszawskiej?

O, bardzo... bardzo — odpowiedział p. Węgierko i nagle posmutniał i zamilkł.

Jakaż jest publiczność warszawska? — zapytałem.

Zamyślił się p. Węgierko, zapalił papierosa. — Mówmy o publiczności paryskiej — jest to gromada rozkosznych dzieci, zdolnych do najwyższej radości i największego wzruszenia. Śmieją się... płaczą... klaszczą... gdy wchodzi na scenę aktor... Miałem wrażenie, że przyjaciel dawno oczekiwany przyszedł do serdecznych przyjaciół.

Żyją jego radością, cierpią jego smutkami. Razem z nim kochają, razem z nim nienawidzą. O publiczności paryska! Nie wiem kto ty jesteś obok mnie siedzący, za mną czy przede mną, nie wiem kto jest każdy z was z osobna, ale wszyscy razem jesteście rozkoszni. Jak cudownie umiecie się śmiać...

Czy tylko śmiać?

Śmiać, płakać — żyć!

Byłem w czasie mego pobytu pewnie ze 40 razy w teatrach. W wielkich i małych, na bulwarach, na przedmieściu i zapadłych zaułkach. Wszędzie — jedno żywe serce bije — publiczność!

Może teatry mają tak znakomite?

Genjalnie mnie pan podszedł. Zmusza mnie pan do wypowiedzenia zdania o walorach artystycznych teatrów. Będę się bronił. Powiem tylko, że dziś w Europie słyną teatry warszawskie i uznane są jako jedne z najlepszych. A ja dodam, że moi znakomici koledzy warszawscy nie ustępują znakomitym kolegom paryskim.

Gdzież powód?

A rozumiem... boi się pan mówić o publiczności warszawskiej, — więc ja panu dopowiem.

Widz Paryża przychodzi do teatru pełen zaufania, a u nas nieufności. — Ale trudno. Posiadając tak niesłychanie skąpą ilość rzeczywistych krytyków literackich i teatralnych, zakusy hyperkrytyczne posiadamy wszyscy, zasiadający na parterze, w lożach i na galerji. Nie tak łatwo nas wzruszyć i rozbawić, bo... bo my się znamy, my się okropnie znamy na teatrze. A kto się zna, musi ganić. Kto więcej gani tem bardziej zna się. Ale za to, jeżeli po półgodzinnej walce z autorem i aktorem wreszcie ustąpimy — to rozlegają się takie brawa, jakie pan co wieczór słyszy pod swoim adresem na «Powrocie do grzechu».



JULJAN EJSMOND

DZIDZIUŚ JEST NIEGRZECZNY

Dzidziuś dzisiaj jest niegrzeczny
Rzekł do Niani: „Ty bałwanie!..“
Będzie zato ukarany:
czekoladki nie dostanie.

Buzia krzywi się w podkówkę...
Wytrysnęły perły-łezki
i zaćmiły swoim żalem
słodkich cząt cud niebieski.

Dzidziuś mówi: „Jak Juleczek
czekoladki nie dostanie
to pójdzie do cukiernika
i powie mu „Ty bałwanie!“

I nie będę jadł obiadku...
Stasiuniowi dam po łapach...
I ołówkiem będę pisał
po Babci i po kanapach.

SERCE

Z cyklu: *Disiecta membra....*

Czemuż ty serce, gdy w bezpamięci miłosnej głowę do ciebie tulę,
Uderzasz echem pochodów czasu, tętnisz mi rytmem: u l t i m a Thule...
Wzmagają przecie twój puls me szaty, a uciszając me rozmarzenia,
Jednak, gdy bijesz w myśl mą goręcej, bijesz goręcej w myśl przeznaczenia.

O, nie bij serce, — wiem, że chwila krótka przecie;
Nadejdzie jutra czas, niezwyciężalny, zły — — —
Z fałd portjer i ze ścian, jak pajęczyny, zmiecie
Zbłąkane szeptów mgły...
Rozwiane westchnień mgły...

O, nie bij serce, — wiem, że brzask szarymi szpony
Z posadzki wyrwie szpar uśmiechów tęczne źdźbła,
Z dywanów zdrapie tła, gdziekolwiek padł rzucony,
Gdzie w zachwyceniu padł
Pąsowy spazmów kwiat...

O, nie bij serce, — wiem, że chwile płyną, giną,
Aż zgaszą złoto świec, obudzą miasta zgrzyt,
Z ram okien chluśnie świt i bielą trupiosiną,
I falą jutra mar
Zaleje szczęścia czar...

— —
— —

Czemuż więc serce, gdy w bezpamięci miłosnej głowę do ciebie tulę,
Uderzasz we mnie pochodem czasu, tętnisz mi rytmem: u l t i m a Thule.

OCZY

Spotkaliśmy się w spojrzeniu.

Przez jasne-ć czoło przepłynęła łuna
Jakgdyby jutrznia przyszłych pocałunków,
Ale ją zwiałaś i w włosów twych cieniu
Zginęła.

Z jutrzni-zwiastuna
Słońce skwarnego rumieńca
Nie wzeszło.
Boś w zmierzchów toń zapadła cała
I brwiami noc na twarz przyzwała,
Gorącą noc letnich zmroczy.
Ledwie, że dałaś paru błyskawicom
Przez zachodzące oczy
Przepłynąć
I w parne dale wtopić się, wmgleć, zginąć — — —

I ciemnią czysta a bezgwiaździsta,
Przecicha głębią jak morze
Stężała noc na twej twarzy,
Gorąca noc letnich zmroczy.

A nawet przed nią skryłaś rzęs kotarą
Pierwsze miłości naszej łoże:
Twe oczy — — —

USTA

Twe usta płoną jak gaj krwawych róż.

Twe oczy-słońca za powiek posowę
Zaszły już.

I spłynął po jagodach pupurowy róż
W łuny pozachodowe.

I wzbił się włosów twych obłoczny, złoty kurz.

Twych ust płonących krwawy, mroczny cień
Otchłanną na mnie tchnie rozkoszą głębi...

Padam weń — — —

Szpalerem chłodnych zębów mknę wśród arżeń,
Aż gdzie się wrzący gryf języka kłębi...

I tonę, ginę w różu krwawej głębi.

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI.

WACŁAW GRUBIŃSKI

UBIERZ SIĘ, PRZYJACIELU

«Jak cię widzą, tak cię piszą». Znacie to powiedzenie. Znaczy to, że należy się dobrze ubierać. Ludzie sądzą ludzi według ubrania. Słowacki pisał do matki, że źle ubranego Mickiewicza nie wpuszczono do jakiegoś nocnego lokalu w Paryżu.

Stąd wniosek, że nawet genjusz musi dbać o ubranie. Przed kilku laty pewna wytworna warszawianka zażądała odemnie, abym ją poznał z Przybyszewskim, którego dzieła uwielbiała.

— Tylko Przybyszewski mnie upaja, mówiła głosem gorącym, jak ogień. — Jest to największy pisarz współczesny! Powiedział: «Na początku była chuć. Nic prócz niej i wszystko w niej». Czy można trafniej określić istotę bytu?

Gdy jej przedstawiłem Przybyszewskiego, przyodzianego w wytartą marynarkę, w bardzo prostackie buty, w niemodny krawat na niemodnym kołnierzyku, wydęła buzię i skorzystała z pierwszej sposobności, aby mi szepnąć:

— Ależ to biedak!

Odtąd mniej się jej podobało, że «na początku była chuć, nic prócz niej i wszystko w niej». Odtąd wydawał jej się większym filozofem książe Walji, który ma mnóstwo ubrań wyśmienicie skrojonych, a stać go na drugie tyle.

— Choćbym nie wiedziała, że to następca tronu, po jego ubraniu poznałabym odrazu, że to niezwykły człowiek.

Jak cię widzą, tak cię piszą. W zastosowaniu do literatów przysłowie to ze stanowiska przeciętnego czytelnika gazet należy tłumaczyć: Jak piszą tak się ubierają. Innemi słowy, literat dobrze piszący, dobrze zarabia, czyli dobrze się ubiera. Wartość literata poznaje się po wartości jego ubrania. W gruncie rzeczy o wszystkiem na tym świecie decydują pieniądze. Człowiek, posiadający pieniądze nakazuje szacunek, posłuch dla swojej woli. Za jego plecami można mu czasem pokazać język, ale w oczy pokazuje mu się uniżony uśmiech, dołeczek w policzku i wielką sympatję. Człowiek bogaty, choćby nawet był za gruby w pasie i trochę krzywy w ramionach, a pod prawem okiem nosił dwunastokaratową brodawkę z rudemi włosami, spodoba się młodej pannie dla samego siebie, albowiem pieniądze mają w sobie czarodziejski dar rozgrzewania serc ludzkich i uczą miłej wyrozumiałości dla przywar bliźniego. Człowiek bardzo bogaty, rozgłośnie bogaty, jest jedynym człowiekiem, mogącym się bezkarnie zaniedbywać w ubraniu. Z licho ubranym Mickiewiczem twardo będzie rozmawiał portjer hotelowy, z Przybyszewskim w wytartej marynarce lekceważąco się obejdzie elegancka panna, z obydwoma poufale porozmawia bankier, ale marnie ubrany bogacz nazywa się oryginałem, wszyscy go znają i zawsze się w pobliżu znajdzie człowiek, który objaśni przypadkowego ignoranta:

— Panie, to jest miljoner Kutwa!

Zato o młodzieńcu świetnie ubranym na kredyt, ten i ów powie:

— Czy to hrabia Firtusiński?

— Nie wiem, kto to jest, ale widziałem go wczoraj z wpływowym finansistą. Rozmawiali po przyjacielsku.

Z literatem w modnym garniturze nawet wydawca mówi mniej poufale i szeroka publiczność, widząc literata w znakomicie wyprasowanych spodniach, w lakierkach, w cieniutkiej koszuli, w pięknych pończochach, w marynarce ozdobnie uwydatniającej literacki zanik żołądka, co może uchodzić za «figurę wyrobioną przez tenis», otóż szeroka publiczność, patrząc na szykowne suknie literata, z większym poważaniem traktuje literaturę.



Paul Morond

We Francji i w Anglji pierwej to zrozumieli pisarze, niż u nas. Tam autor ubrany według żurnala oddawna wpaja w burżuazyjny i małomieszczański ogół szacunek dla literatury. Pan Paul Morand, którego książka p. t. «Swawolna Europa» w polskim tłumaczeniu opuściła właśnie tłocznię drukarską (nakładem «Roju»), zagadnienie ubrania posunął nawet do snobizmu. Ten człowiek, ten pisarz, wszystko ma na sobie najmodniejsze, z najmodniejszego materjału, z materjału najdroższego, najlepszego, najbardziej *confortable*. Jeździ wspaniałym samochodem i używa nie tłukącego się termosu całego ze stali (wynalazek amerykański). Twórczość pana Paul Morand'a jest taka sama: dyszy dobrobytem, sportami, nie odmawianiem sobie niczego, codziennym masażem, świetnym apetytem, pełnym pugilaresem, jest wyspana, jasnowzroka, śmiała, cokolwiek zanadto pewna siebie, *confortable*. Pan Paul Morand tak pisze, jak się ubiera. «Jak cię widzą, tak cię piszą». P. Paul Morand mógłby zawołać: «Jak mnie widzisz ubranym, tak piszę. Sporty podróże, pierwszorzędne hotele, dobry krawiec, dobry szewc, dobra książka, dobre towarzystwo, dobry wydawca. Mój «Żywy Buddha» w ciągu dwóch miesięcy przekroczył sto pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. A dlaczego? Bo jestem dobrze ubrany i taka sama jest moja twórczość.

Tych spostrzeżeń kilkoro uwadze literatów polskich przedkładam i sam się w zadumie pogrążam.



BAL SREBRNEJ KRYNOLINY.
Na balu Srebrnej Krynoliny, jednym z najświetniejszych w minionym karnawale, urządzonym w dniu 18/II/28 w salonach hotelu Europejskiego, I-ą nagrodę i tytuł Damy Srebrnej Róży otrzymała P. Red. Zdzisławowa Kleszczyńska, w pięknej toalecie z firmy G. Żmigryder. Uczesanie B. Mazurkiewicz.



Japoński wazon.





Jak pociesznie wyglądają ci, co nie tańczą...





„Duma" rodziny...



WANDA MIŁASZEWSKA

PODRÓŻNI

NOWELA

Przedział pierwszej klasy był prawie pusty. Właściwie możnaby powiedzieć, że był zupełnie pusty, tak niewiele miejsca zajmował w nim jedyny dotychczasowy pasażer, osobnik drobny, szczupły, zasunięty w kącik pod oknem i zatopiony w lekturze.

To też nowoprzybyły podróżny odetchnął z widocznem zadowoleniem i wskazał tragarzowi siatki na rzeczy; dwie ogromne, skórzane walizy o solidnym wyglądzie znalazły wygodne pomieszczenie nad głową ich właściciela, który tymczasem postawił obok siebie podręczny neseserek, wydobył z kieszeni kamizelki garść drobnej monety i jął odliczać napiwek dla człowieka w niebieskiej bluzie.

— Dziękuję wielmożnemu panu i życzę szczęśliwej drogi! — wydeklamował ten ostatni, snać olśniony sutą zapłatą.

Pasażer z pod okna ani na chwilę nie oderwał wzroku od książki. Zdawał się tak pochłonięty czytaniem, że nawet ochrypły głos tragarza nie wyrwał go z zadumy. Dopiero kiedy pociąg ruszył z miejsca, młody człowiek podniósł głowę, przetarł zapotniałą szybę i wyjrzał, jakgdyby pragnąc odczytać nazwę stacji. Przez chwilę przypatrywał się migającym słupom telegraficznym i bezlistnym konarom drzew przydrożnych, które uciekały coraz to szybciej w miarę, jak „ekspress" nabierał rozpędu. Wreszcie — odwrócił twarz od okna i wtedy dopiero po raz pierwszy musnął spojrzeniem roztargnionem krągłą, czerwoną i dobrotliwą twarz swego towarzysza podróży:

Był to jegomość już niemłody, wysoki, barczysty i szpakowaty. Ukończył właśnie uciążliwą czynność wyzwolenia swej ziemskiej powłoki z futra i — powiesiwszy je w kącie przedziału, — usadowił się pośrodku ławki z wyrazem błogiego zadowolenia, które zwykle poprzedza drzemkę. Jednakże, spotkawszy wzrok młodego człowieka, poruszył się, poprawił, machinalnie dotknął ręką lewego boku marynarki, poczem jakby zażenowany tym bezwiednym gestem, zdradzającym niepokój o pugilares, zagaił rozmowę pytaniem:

— To przedział dla palących, nieprawdaż?

— Tak jest, — odparł szczupły brunecik i sięgnął po swoją książkę.

Barczysty jegomość wydobył papierośnicę naładowaną solidnie, wyjął z niej papierosa, włożył go do ust i rozpoczął poszukiwanie zapałek. Możnaby tu wtrącić mimochodem uwagę, że niemal wszyscy mężczyźni palący mają tę samą, głęboko zakorzenioną wadę: nigdy nie wiedzą, do której mianowicie kieszeni schowali ostatnim razem pudełko z zapałkami. Wskutek tego odnalezienie zguby poprzedza pewna ilość coraz szybszych i coraz bardziej nerwowych ruchów: klapnięcie po prawej kieszeni marynarki, klapnięcie po lewej kieszeni tejże, klapnięcie po prawej kieszeni spodni... et caetera. Otóż szpakowaty jegomość, wykonawszy szereg tych ćwiczeń próbnych, doszedł do wniosku, że albo zgubił zapałki podczas rewizji celnej, albo zostawił je w palcie i właśnie zamierzał ich tam jeszcze poszukać, gdy w tej samej chwili usłyszał suchy trzask, oraz niski przyjemny głos sąsiada, wyciągającego rękę z płonącą zapalniczką:

— Pan zdaje się nie ma zapałek. Służę.

— Dziękuję bardzo — odparł właściciel skórzanych walizek i odwdzięczając się za uprzejmość, wydobył znowu papierośnicę.

— Może pan będzie łaskaw.

— Dziękuję bardzo.

— Ależ...

— To w takim razie pozwoli pan, że w następnej kolejce zapalimy mojego?

— Z miłą chęcią. Proszę.

Brunecik wziął papierosa, przez chwilę trzymał go w palcach, poczem odezwał się dość obojętnym tonem:

— Szanowny pan zapewne zdaleka?

— Hm, tak. To jest... właściwie teraz jadę z Berlina.

— Szanowny pan przebywał przez czas dłuższy w Ameryce... — rzekł znowu brunet odniechcenia.

Tamten spojrzał na niego zdziwiony.

— Istotnie. Ale skąd pan to wywnioskował?

— Poprostu z akcentu. *Ja także* przez czas dłuższy bawiłem w Stanach Zjednoczonych.

— Doprawdy? A w jakich stronach, można wiedzieć? Bo to, panie, rozciągliwe pojęcie. Od New-Yorku do San Francisco...

— ...I od Michigan do Texas... — wtrącił brunecik z uśmiechem.

— He he! To z pana wojażer! A w Bostonie pan był?

— Spędziłem tam rok cały na praktyce. Jako urzędnik bankowy...

— No no, patrzajcie! A dawno, można wiedzieć?

— Coś ze trzy lata temu.

— A ja trzydzieści lat mieszkałem pod Bostonem. Kawał czasu!

— Szanowny pan powraca do kraju na stałe?

— To się pokaże. Nie wiem, jak mi się warunki ułożą. Muszę najpierw odszukać rodzinę...

Urwał — i nagle dość nieufnem spojrzeniem obrzucił towarzysza. Ale tamten nie zdradzał zaciekawienia. Owszem, w tej samej właśnie chwili, podnosząc do ust papierosa, maskował ziewnięcie.

— A pan gdzie stale mieszka? — zagadnął po chwili „amerykanin".

— Jadę teraz do Lwowa. Ale, być może, zatrzymam się w Warszawie. Pan zna Warszawę?

— Znałem. Teraz trudno powiedzieć: znam. Trzydzieści lat, panie, to nie przelewki. Wiele się zmienić musiało. Wojna, panie. Przedewszystkiem wojna. I ludzie pewnie inni, nie lepsi, a gorsi, niż byli. Wojna! Prawdę powiedziawszy, trochę się boję, że mi tu nie dadzą żyć spokojnie. Bo to, jak czytam ciągle w gazetach, nic, tylko polityka. Polityka i polityka. A ja pracować chcę, kochany panie. Pracować chcę — i basta. Tegom się przez trzydzieści lat uczył, tam, na obczyźnie i to jedno robić potrafię.

— Nie brak i tutaj pola... — wtrącił młody człowiek, zakreślając ręką szeroki łuk.

— Słyszałem — ciągnął dalej eks-obywatel stanu Massachusets — że pole pracy duże. Mówi to każdy Amerykanin, który był w Polsce. Ale dodajmy, że ludzi, ludzi brak.

— Ludzi? Przecież trzydzieści miljonów...

Szpakowaty jegomość machnął ręką.

— Trzydzieści miljonów! A ile w tem niedołęgów, wałkoni, obieżyświatów, albo poprostu, mówiąc, między nami, skończonych bandytów, złodziei... Przecież czytam ciągle, to wiem. Gazety, panie, przepełnione opisami grabieży, morderstw, oszukaństwa, złodziejstwa, plajt... A ci, co przypadkiem nie kradną, kłócą się między sobą, wymyślają sobie od łotrów, zdrajców ojczyzny, od kanalji i tym podobnych gentlemanów. Przecież gazety polskie czytam, to wiem.

Młody człowiek roześmiał się.

— A jednak wraca pan do tego kraju, między tych strasznych ludzi, których opisują gazety...

— Cóż robić, panie! Wracam. Wyjeżdżając do Ameryki miałem dwadzieścia kilka lat i serce pełne otuchy. Własna rodzina postąpiła ze mną paskudnie, najbliżsi przyjaciele okpili mię, jak lepiej nie trzeba. Ludzie, którym ślepo ufałem, wyzyskiwali mnie, moją pracę, moje dziecinne zaufanie do nich. Zrobili ze mnie prawie nędzarza. Et, co tu gadać, panie. Wyjechałem, by szukać ludzi uczciwych i pracy uczciwej, panie. Dorobiłem się, wracam z dolarami w kieszeni, ale i z przekonaniem, że łajdactwo jest wszędzie. Złodziejstwo, szwindel, a nawet ordynarna grabież czyha na człowieka na każdym kroku.

— Na każdym kroku? — podchwycił młody człowiek z ożywieniem. — To już chyba zbyt czarny pesymizm...

— Zaręczam panu, że nie — odparł szpakowaty jegomość, kiwając smętnie głową. — Życie nauczyło mię, że dziś nie można ufać nikomu. Wypróbowany przyjaciel nagle okazuje się wrogiem, a wieloletni wspólnik — zwykłym oszustem. Cóż dopiero mówić o nieznajomych, spotykanych w przelocie...

— To mi przypomniało, — rzekł brunet, powstając nagle, — że nie mam jeszcze przyjemności znać szanownego pana. Piotrowski jestem.

— Niesłychane! Bo i ja także Piotrowski. Może pan z Kieleckiego? z tych samych właśnie Piotrowskich...

— Och, nie! — odrzekł z pośpiechem młody człowiek. — Moja rodzina pochodzi z Warszawy.

— Prawda, Piotrowskich jest przecież w Polsce, jak maku — zauważył starszy pan z żalem. — Szkoda. Mały włos, a okazałoby się, żeśmy krewniacy.

— Kto wie? Może i jesteśmy krewniacy... — odparł młodszy Piotrowski, sięgając do kieszeni. — Niechże pan teraz pozwoli mego papierosika.

— Dziękuję, może za chwilę. Ja nie palę tak wiele. Piotrowski! No no... A jak panu na imię, jeżeli wolno spytać?

— Stanisław.

— Patrzcie! Miałem bratanka, Stanisława. Coprawda, nigdym go na oczy nie widział. Urodził się, kiedy już byłem w Ameryce. Teraz nie wiem nawet, co się z nim dzieje. Byłby zapewne w pańskim wieku. Stanisław Piotrowski! Inaczej — mój bratanek, Staś...

— Bardzo żałuję, że nie mam szczęścia być pańskim bratankiem — odparł z westchnieniem młody człowiek. — Od dzisiejszego dnia miałbym takiego sympatycznego stryja!

— Doprawdy? Ejże! Skąd pan możesz wiedzieć, że jestem sympatyczny? A jeśli ja właśnie jestem jakaś z pod ciemnej gwiazdy kanalja?

— Prawda... W myśl pańskich przekonań, że nikomu dziś wierzyć nie należy, mogłoby się okazać, że ja naprzykład jestem zamaskowanym bandytą...

— A ja kieszonkowym złodziejem, co? — zaśmiał się pan Piotrowski starszy, poczem dodał z powagą: — Tak, tak, mój panie, ten żart może być równie dobrze żartem, jak smutną prawdą. Bo jednak w dzisiejszych czasach...

— ...kiedy bandyci jeżdżą sleepingami...

— Właśnie. A na czele poważnych instytucyj stoją złodzieje... Tak, mój panie, złodzieje. Znałem jednego. Był moim szefem przez dwa lata. Koniec końców ukradł mi kaucję, jedyny kapitał, jaki naówczas posiadałem. I nawet nie siedzi w więzieniu. Buja kędyś po świecie.

— I kradnie dalej.

— Właśnie. I kradnie dalej. I to jest właśnie najstraszniejsze, że dziś trudno nawet rozpoznać takiego tranta. Wygląda często dobrodusznie, poczciwie...

— Jak ja, lub pan...

— Właśnie. Jak ja, lub pan. A w gruncie to skończona kanalja. Witasz się z nim, podajesz rękę, mówisz mu „ty" — nazywasz przyjacielem, a to oszust z pod ciemnej gwiazdy, łotr, szantażysta, albo poprostu zwyczajny złodziej kieszonkowy. Zaroiła się od nich Europa, zaroiła się Polska. Nigdy nie wiemy, z kim mamy do czynienia, nie wiemy dnia, ani godziny.

— Nie wiemy dnia, ani godziny — powtórzył machinalnie młodszy Piotrowski. — No, ale nie wszyscy ludzie są źli, występni. Społeczeństwo nie składa się z samych złodziei. Oprócz kradnących są jeszcze okradani, prawda? Może pan teraz zapali?

Wydobył srebrną papierośnicę, ozdobioną licznemi monogramami i otworzywszy, podał niedoszłemu stryjowi.

— Ano, owszem, zapalę. Bardzo ładna papierośnica — zauważył Piotrowski-senjor.

— To podarunek moich kolegów.

— Uniwersyteckich? Pan gdzie studjował, jeżeli wolno wiedzieć?

— Potrosze wszędzie... — odparł Stanisław, ociągając się. — Wojna wykoleiła nas, młodych. Ot, tak się żyło, to tu, to tam... Niejeden porzucił studja, niejeden zmienił swój fach...

Urwał nagle i spojrzał badawczo na swego towarzysza podróży. Starszy pan Piotrowski pokiwał głową.

— Tak, tak. Wojna wykoleiła młodzież naszą. Wiem ja coś o tem. Iluż to młodych, obiecujących chłopców zmarnowało swoją karjerę... Ilu z nich zeszło na manowce! Poprostu na złe drogi... Ot, mój bratanek, Staś... Przykro mi o tem mówić, ale sam nie wiem... nic o nim nie wiem i — co gorsza, rodzina także nie wie... Podobno coś tam przeskrobał, uciekł z wojska... Słuch o nim zaginął... pewnie się chłopak zmarnował... a szkoda... Zdolny był...

Umilkł i ziewnął szeroko.

— Spać mi się chce — zaczął po chwili — a pewno już niedługo będziemy mieli stację... Obiad wartoby zjeść... Mój panie... panie Stanisławie... Niechno mię pan obudzi, dobrze? Bo ja zazwyczaj twardy mam sen... Aaaa... I niechno pan... z łaski swojej... uważa na rzeczy... Ten neseser, widzi pan... ten neseser...

Nagle ocknął się, przetarł oczy.

— Co u licha? — mruknął, patrząc na młodego człowieka podejrzliwie. — Co ja tu bredzę? O czem to rozmawialiśmy przed chwilą? Taki mię nagle śpik ogarnął...

— Mówił pan o bratanku swoim, o... Stasiu — rzekł Piotrowski. — Ale proszę się uspokoić. Jeżeli nawet pan zaśnie, ja *będę czuwał*. Ja nigdy nie sypiam w pociągu.

— He, he... ja też... nie sypiam... zwykle. Bo to, panie, w tych czasach... bo to, panie...

Kiwnął się gwałtownie, raz jeszcze otwarł szeroko nieprzytomne oczy i zwiesiwszy głowę, usnął na dobre.

Młody człowiek przez długą chwilę przyglądał mu się uważnie, siedząc nieruchomo. Potem — odłożył trzymaną w ręku książkę. Potem — powoli wstał. Potem — pochylił się nad śpiącym i znów przez długą chwilę nadsłuchiwał.

„Amerykanin" spał mocno, snem omal, że niesamowitym. Stwierdziwszy to, Piotrowski-junior szybko obró-

cił się ku drzwiom, wiodącym na korytarz: zamknął je od wewnątrz i zasunął firanki, poczem swobodnie, bez pośpiechu zdjął z wieszaka swoje palto, nałożył czapkę i wówczas — znowu pochylił się nad uśpionym. Szczupłe, smagłe ręce o wydłużonych palcach wyciągnęły się błyskawicznym ruchem ku piersiom śpiącego jegomościa.

— — — — — — — — —

Ocknąwszy się, stary Piotrowski przez chwilę wodził dokoła błędnem spojrzeniem, usiłując zrozumieć, gdzie się znajduje. Przedział pierwszej klasy był pusty, drzwi do połowy uchylone. Za lekko dzwoniącą szybą okienka, w błękitnym zmierzchu zimowego dnia migały szybko słupy telegraficzne i bezlistne konary przydrożnych drzew.



Szpakowaty jegomość raptownie uprzytomnił sobie, że jechał pociągiem pośpiesznym do Warszawy, że usnął, rozmawiając z nieznajomym młodzieńcem, a teraz leży z głową opartą o pluszową poduszkę, wyciągnięty jak długi na ławce — i że w przedziale niema nikogo.

— Jezus Marja, okradli mię! — krzyknął i skoczył na równe nogi, chwytając się za głowę. Wzrok jego podążył ku walizkom: — były na dawnem miejscu, a skórzana ramka z biletem wizytowym właściciela chwiała się na długim rzemyku w takt kołysania wagonu.

Wówczas pan Piotrowski gwałtownym ruchem sięgnął po pugilares...

Był. Był nietknięty. Dolary leżały równiutko poskładane w bocznej przegródce. Wydobył je i liczył, suchemi z podniecenia wargami szepcząc w miarę, jak drżące palce przesuwały sztuka po sztuce szarozielone papierki:

— Dwa... cztery... Cztery tysiące pięćset...

Z pomiędzy banknotów wysunął się w tej chwili biały róg kartki, drobniutko zapisanej ołówkiem. Piotrowski pochwycił kartkę, przysunął się ku oknu i czytał, czytał ze wzrastającem osłupieniem, w ostatnich blaskach dogasającego dnia:

„Szanowny Panie. Dolary są w porządku. 4721 (wyr. cztery tysiące siedemset dwadzieścia jeden). Akredytywy na Bank Handlowy znajdzie pan w neseserze, jak również złoty zegarek i spinki z szafirami. W ogóle wszystko jest w porządku. Pozwoliłem sobie jedynie wyrwać tę kartkę z pańskiego notesu, gdyż nie posiadałem papieru. Pragnę dokończyć prezentacji: jestem z zawodu złodziejem. Ostatnio pracowałem, jako specjalista w pociągach pośpiesznych. Często zmieniałem zresztą nazwisko i fach. A jednak — ludzie nie są tacy źli, — nieprawdaż, kochany panie Piotrowski? Przecież *mogłem* ograbić pana. Wsiadłem do pociągu w tym celu. Pańska wiara w poczciwość ludzką jest aż rozbrajająca. Pan jest *porządnym* człowiekiem. I ja nim kiedyś byłem. Jednak radzę na przyszłość zachować więcej ostrożności. Czasem zdarzyć się może, iż nieznajomy, spotkany w drodze, jest istotnie nigdy niewidzianym bratankiem; częściej jednak... Ale dość słów. Zresztą papier się kończy, a na wyrwanie nowej ćwiartki nie pozwala mi sumienie i — czas. Żegnam. Nie zobaczymy się już pewno nigdy. A szkoda... Pan jest doprawdy ogromnie miły i dobry. Krótką znajomość naszą we wdzięcznej zachowam pamięci".

❋ ❋ ❋

Dr. J. KACEW

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

II.

Wszelka kuracja, w szczególności kuracja odtłuszczająca, tylko w takim wypadku może odnieść skutek pożądany, gdy jest należycie wyświetlona przyczyna choroby. W przeciwnym razie kuracja będzie skazana na niepowodzenie lub wynik przypadkowy.

Każdy zdrowy organizm może nagromadzić do pewnego stopnia tłuszcz, jeżeli w przeciągu dłuższego czasu przyjmowanie substancyj pokarmowych znacznie przewyższa ich zapotrzebowanie.

Takie, że tak powiem, fizjologiczne, tj. normalne nagromadzenie tłuszczu jest najłatwiejsze do leczenia, albowiem należy tylko zmniejszyć dopływ produktów pokarmowych.

Decyduje w danym wypadku nie ilość, lecz jakość spożywanych produktów; o jakości, o ich wartości odżywczej sądzimy na zasadzie kaloryjności, czyli wartości cieplikowej.

Pokarm wprowadzony do ustroju zostaje stopniowo spalony, rozwija cieplikową energję i im więcej ustrój otrzymuje cieplikowych jednostek, zwanych kalorjami, tem więcej osadza tłuszczu.

Teraz powstaje pytanie, o ile musimy zmniejszyć przyjmowanie produktów pokarmowych, ażeby schudnąć?

Będąc przeciwnikiem przeprowadzanych kursów szybkiego odchudzania jednak wskażę, że w takich wypadkach strata wagi nie powinna przewyższać 5 klg. miesięcznie i że kurs taki winien trwać nie dłużej niż 5 tygodni (ilość wprowadzanych kaloryj doprowadza się do 60—50%).

Jednakże daleko racjonalniejszem jest dążenie do stopniowej straty na wadze, gdyż wówczas można przeprowadzać leczenie bezkarnie w ciągu dłuższego czasu; w takim razie musimy się zadowolnić stratą na wadze 1 i pół klg. na miesiąc (ilość kaloryj doprowadza się wówczas do 75%).

Prócz zabiegów djetetycznych bardzo ważnym czynnikiem w technice leczenia otyłości jest praca mięśni (gimnastyka, sport), która wywołuje wzmożone zużytkowanie kaloryj na koszt spalania tkanki tłuszczowej.

Naprzykład ustalono, że godzina chodzenia wpływa na zużytkowanie 281 kal., godzina jazdy na rowerze 312

kal., godzina jazdy na rowerze pod wiatr 585 kal., godzina biegania 576 kal., jedna minuta pływania 9 i pół kal., noc charlestona... to jeszcze nie jest stwierdzone dokładnie, jednak tańce wywołują również znaczne zużytkowanie kalorji.

Dzięki pracy mięśni możemy, nie ograniczając swego jadłospisu, tracić około 1 i pół klg. miesięcznie lub też przy łagodnej djecie, tracić do 3 klg. miesięcznie.

Jednak z pracą mięśni należy być bardzo ostrożnym, należy się do niej przyzwyczajać powoli, starając się unikać zmęczenia.

Świetne usługi w tym względzie okazuje aparat prof. Nagelschmidta, wywołujący silne, rytmiczne mięśniowe skurcze, których liczbę możemy doprowadzić do 100—120 na minutę: nakładając na ciało odpowiedni ciężar wzmacniamy w znacznym stopniu intensywność pracy, przyczem pacjent zupełnie się nie męczy i nie odczuwa żadnych nieprzyjemnych wrażeń.

Wymienione skurcze, chociaż nie wywołane naszą wolą, nie są bierne, lecz w zupełności zastępują ruchy czynne o znacznej sile i wywołują wybitne spalanie tłuszczów, a mięśnie stają się mocne i ciało nabiera jędrności.

Jeżeli człowiek nieprzywykły do wzmożonej pracy mięśniowej, musi wykazać pewną wytrzymałość woli, aby wykonywać robotę tę systematycznie to po przejściu kursu takiego leczenia (około 6-ciu tygodni), leczony czuje w sobie jakby przypływ sił i potrzebę takiej pracy.

Na życzenie możemy wywoływać ruchy czynne nie całego ciała, a określonych grup mięśniowych, powiedzmy tylko muskulatury brzucha, pośladków, łydek i t. d.; działając na mięśnie brzucha, działamy pośrednio również na atonję kiszek, wywołując w nich lepsze ruchy robaczkowe (perystaltykę) i usuwając w ten sposób nawykowe zaparcie.

O ile wymienione aktywne mięśniowe ruchy są nadzwyczaj pomocne przy leczeniu otyłości, o tyle efekt ruchów biernych i masażu wszelkiego rodzaju, przedstawia się nader problematycznie, w każdym razie wybitnie małoznacząco.

A więc przez ograniczenie ilości wprowadzonych kaloryj i zastosowanie pracy mięśniowej, jesteśmy w możności walczyć z przypadkami normalnego magazynowania tłuszczu.

Jednak istnieje cała grupa ludzi (i być może najliczniejsza), u których drogą djetetyczną nie osiągamy żadnych wyników; tacy ludzie i tak przyjmują znacznie mniej kaloryj niż im się należy.

Ta grupa ludzi należy do kategorji przypadków prawdziwego, chorobliwego otłuszczania, wywołanego zaburzeniem w mechanizmie, regulującym przemianę tłuszczową.

Główną rolę odgrywają w takich razach gruczoły wewnętrznego wydzielania, mianowicie gruczoł tarczykowy, przysadka mózgowa i gruczoły płciowe.

Umniejszona czynność każdego z tych gruczołów może wywołać magazynowanie tłuszczu, bardzo typowe dla danego gruczołu; naprzykład dla umniejszonej czynności gruczołu tarczykowego charakterystyczne jest mniej lub więcej równomierne rozłożenie tłuszczu na całem ciele; dla gruczołów płciowych — nagromadzenie tłuszczu w górnej części tułowia, przeważnie w okolicy pleców, karku, piersi; dla przysadki mózgowej — złogi tłuszczowe w dolnej części brzucha, na pośladkach, piersiach i biodrach, przyczem kończyny pozostają szczupłe, tak że otrzymują kształt spodni „briczesów".

Rozumie się, spotyka się również i kombinację tych 3-ch typów.

W tym rodzaju otyłości, leczenie polega na organoterapji, czyli na leczeniu wyciągami właściwych gruczołów wewnętrznego wydzielania; na proteinoterapji, czyli na leczeniu preparatami, wreszcie na mechanoterapji, czyli na leczeniu czynną robotą mięśniową.

Rozumie się, leczenie takie może być prowadzone tylko pod ścisłą kontrolą lekarza.

Co się tyczy leczenia podwójnego podbródka, karczka i wszelkich wogóle ograniczonych złogów tłuszczu, to jedynym sposobem leczenia tych wad jest iontoforeza, polegająca na tem, że substancja lecznicza jakgdyby zostaje schwytana przez prąd elektryczny; wraz z nim przedostaje się przez nieuszkodzoną skórę w głąb i tam rozwija swoje specyficzne działanie farmako-dynamiczne, w danym zaś razie wywołuje zanikanie nadmiaru tkanki tłuszczowej.

Kończąc niniejszy artykuł, nie mogę przemilczeć tak modnej dziś parafinoterapji.

Przedewszystkiem należy kategorycznie podkreślić, że leczenie otyłości wyłącznie tylko parafiną jest najzupełniejszym absurdem.

Jak wynika z powyżej wyłuszczonego, procesy magazynowania tłuszczu w ustroju są zbyt złożone, aby je można było leczyć jedynie drogą pocenia — nawet parafinowego.

Ustrój, gromadząc tłuszcz, zbyt silnie go trzyma, by mógł w ciągu jakich 15 minut seansu parafinowego stracić 600, albo nawet 1000 gramów.

Jeżeli waga (rozumie się, tuż po seansie) wykazuje taką znaczną stratę, to należy ją zaliczyć wyłącznie na rachunek wydalonej wraz z potem wody, którą ustrój znowu z takąż łatwością chwyta, z jaką ją oddał.

Wystarczy zważyć się następnego dnia, aby się przekonać, że osiągnięte wyniki były jedynie złudą.

Jednak w 2-ch zwiedzonych przeze mnie zakładach parafinowych w Berlinie, zalecają, celem osiągnięcia widocznych wyników, powtarzanie parafinowych seansów codziennie, i rzeczywiście pacjent zaczyna wyraźnie tracić na wadze, albowiem do czynnika znacznego pocenia przyłącza się zupełna utrata apetytu, pacjent prawie się głodzi; znaczna utrata wody prowadzi do zaparcia, przeciw któremu przepisuje się natychmiast środki rozwalniające; pacjent słabnie zupełnie, leczenie należy przerwać, a po tygodniu... waga znowu wykazuje nieszczęśliwą liczbę.

Z parafiny należy korzystać tylko jako ze środka pomocniczego, przy kombinowanem leczeniu całego ustroju, przyczem głównie w przypadkach, gdy musimy odwodnić ustrój.

By nie męczyć pacjenta, wystarczają 2 seanse tygodniowo po 45 minut.

Z leczniczego punktu widzenia nakładanie parafiny zapomocą specjalnych rozpylaczy nie posiada żadnej wyższości nad ręcznem nakładaniem.

Jeżeli w rozpylaczu (rewolwerze) parafina posiada nawet ciepłotę 80°, to jednak w chwili dosięgnięcia skóry ma już tylko 52—55°, albowiem przy rozpylaniu szybko się ochładza, zarówno wskutek znacznej powierzchni kontaktowej z otaczającem, chłodnem powietrzem, jak również wskutek procesu adjabatycznego (przekształcenia energji cieplnej w kinetyczną).

❋ ❋ ❋

«NIE OŻENIĘ SIĘ»,

komedja w 3-ch aktach Beli Szenes'a w teatrze Letnim. Reżyserował dyr. Emil Chaberski.

Zjawiskiem wielce znamiennem jest powodzenie tej komedji. Nie posiada ona ani specjalnie interesującej treści, ani też nadmiaru dowcipu. Atrakcją w danym wypadku jest nie treść, nie forma, lecz tendencja sztuki. Politowanie i pogarda dla kobiety «modnej», czyli gruntownie pozbawionej wdzięku niewieściego i pozorów cnoty udziela się z ogromną łatwością widowni, zaś arcymoralne zdania, padające z ust zacnej przedwojennej cioci, są wynagrodzone hucznemi oklaskami.

Widocznie królująca obecnie na balu i w salonie krynolina jest również wynikiem pewnego przewartościowania pojęć o kobiecie i konieczności odróżniania jej od mężczyzny. «Stuprocentowa kobieta, a nie jaskrawo rozmalowana deska do prasowania», — oto hasło, jakie w związku z tą sztuką wysunął jeden z najwybitniejszych naszych pisarzy.



Leszczyńska i Różycki



Fot. J. Malarski

O. Leszczyńska w gronie „współczesnych" pannic

Ten nastrój widowni ułatwił ogromnie zadanie reżyserowi i artystom. Czołową rolę — zdemoralizowanej, pannicy — odtworzyła świetnie Ola Leszczyńska. Szkoda, że świetnie tylko w pierwszej części, albowiem w drugiej — po nawróceniu nie może zmienić sylwetki, zaś grą bladą i przytłumioną zbyt słabo podkreśla intencje autora.

Partner p. Leszczyńskiej — p. Różycki nie mając w roli wiele do wygrania, pokazał się ze strony najlepszej: Pozostali wykonawcy z Gellówną, Zahorską, Orwidem i Kurnakowiczem — wszyscy na poziomie zadania.



Dwa pokolenia — dwa światopoglądy... (Zahorska i Leszczyńska)



KOMUNIKAT FIRMY

B. HERSE



Nowe modele, przygotowane przez wielkie domy «haute couture» w Paryżu na sezon nicejski, uchylają zwykle rąbek tajemnicy, którą się otacza zbliżająca moda wiosenna.

Już teraz powiedzieć można, że zapoczątkowane na jesień zmiany, zrywające z szablonem i uniformem garçon'ki znajdą na wiosnę jak najszersze zastosowanie.

Suknie sportowe, popołudniowe, obiadowe, do balowych włącznie rywalizować będą ze sobą nowemi gamami kolorów, przybrań i tysiącznemi detalami wykończenia.

Cienkie wełny, błyszczące i matowe jedwabie, niezmierne bogactwo deseni stworzy dostatecznie bogatą kanwę, na której pomysłowość francuskich mistrzów znajdzie ujście dla swojej fantazji.





P. Stetson, małżonka posła amerykańskiego w Warszawie



P. Stanisławowa Fuchsowa



Fragment wnętrza apartamentów pp. Stetson w stylowym gmachu przy ul. Świętojańskiej



S. Broniszówna i J. Węgrzyn

«ROMANS FLORENCKI»,

sztuka w 5-ciu aktach Stefana Kiedrzyńskiego w teatrze Narodowym, Reżyserował Józef Węgrzyn. Dekoracje Wincentego Drabika.

W powodzi komedji o specyficznem podłożu aktualnem oraz fars, obliczonych tylko na rozśmieszanie publiczności, zasugerowanej «firmowem» nazwiskiem autora, «Romans Florencki» jest na przestrzeni kilku ostatnich miesięcy jedyną sztuką, która nie «wygra się» po kilkudziesięciu przedstawieniach lecz zajmie poczesne miejsce w stałym repertuarze najlepszych scen polskich.

Interesująca, pełna tragicznego napięcia fabuła, gruntowna znajomość historji epoki, wreszcie pięknie wystylizowana rytmiczna proza, jaką jest cała sztuka napisana, — wszystko to składa się na całość nieprzeciętną, opracowaną z wielkim mozołem napisaną, z właściwym Kiedrzyńskiemu rozmachem i talentem.

Oprawa sceniczna, jaką dał sztuce teatr Narodowy, odpowiada wartości samego dzieła. Dekoracje Drabika, obsada składająca się z najlepszych aktorów, sprężysta reżyserja Węgrzyna, złożyły się na całość sprawną i estetyczną.

Demoniczna Clarissa w interpretacji Broniszówny, cnotliwa Simona w wykonaniu Lindorfówny, zapalczywy kupiec florencki — Beritolo (Brydziński), idealny kochanek—Leonardo (Węgrzyn), wreszcie przewrotny, pożądliwy mnich—Cornelio (Justjan),— wszystkie główne postacie przez autora są zakreślone bardzo wyraźnie, przez aktorów zagrane starannie.



Stefan Kiedrzyński,
którego 2 sztuki wystawione jednocześnie w teatrach Narodowym i Małym cieszą się niebywałem powodzeniem



Marja Malicka w czołowej roli w komedji „Powrót do grzechu"



Scena aktu III. Broniszówna, Brydziński, Justjan, Lindorfówna i Węgrzyn

Fot. J. Malarski

«POWRÓT DO GRZECHU»,

komedja w 3-ch aktach Stefana Kiedrzyńskiego w teatrze Małym. Reżyserował Aleksander Węgierko.

W nowej sztuce Kiedrzyńskiego z niebywałą dotąd siłą uwydatniła się zasadnicza cecha komedji tego autora: fabułę dramatyczną, posiadającą momenty nieraz zgoła tragiczne przyozdabia Kiedrzyński w beztroskie żarty, uderzając czasami w ton farsowy.

Ta sama rozbieżność istnieje w rysunku postaci. Bohater sztuki — prowincjonalny fotograf, człowiek o bardzo wzniosłych i szlachetnych aspiracjach, lecz komicznej powłoce zewnętrznej, jest niejako uosobieniem drobnomieszczańskiej tragedji. Partnerem jego jest amant wielkomiejski, osobnik zblazowany i głupkowaty, w którego ustach każde poważne powiedzenie brzmi fałszywie.

Te rozbieżne elementy są skojarzone w sposób zręczny, sytuacje i rozwój akcji świadczą o niepospolitej rutynie komedjopisarskiej autora.

Na czoło wykonawców wysunęła się p. Marja Malicka. W dość banalną rolę włożyła ona wiele szczerego sentymentu i zjednała sobie zgodne uznanie krytyki.

P. Węgierko dał doskonale przestudjowaną sylwetkę fotografa. Swietny jest stary pechowiec-doktór w interpretacji p. Stanisławskiego.



Grabowski, Malicka i Węgierko

Fot. St. Brzozowski

KOBIETA ZDRADZONA

Żyjemy w czasach powikłań psychicznych, w czasach jednocześnie pełnych brutalności, barbarji, subtelności, delikatności uczuć i cienkości intelektualnej.

Obok kobiet pozbawionych przesądów, co nieraz niemal znaczy pozbawionych wdzięku, spotykamy kobiety prześliczne moralnie, zachwycające przez swoją godność kobiecą i przedziwnie inteligentne.

O jednej takiej kobiecie cnotliwej bez pruderji, inteligentnej bez arogancji, subtelnej bez minoderji, opowiada komedjopisarz paryski, p. Pierre Veber. Oto fragment powiastki, która wyszła z pod jego błyskotliwego pióra. Mądrość łączy się tu z dowcipem, a dowcip z powabem.

Młoda kobieta — opowiada p. Veber -- przychodzi do swojej najserdeczniejszej przyjaciółki i mówi:

— Dowiedziałam się, że mój mąż mnie zdradził. Co mam robić?



Kazimiera Zajączkowska, artystka teatru Narodowego

Odpłacić mu pięknem za nadobne? Wziąć sobie kochanka?

— Kochasz go?

— Bagatela! Naturalnie, że go kocham, inaczej nie byłoby zagadnienia. Jeżeli go zabiję, pozbawię się męża i cóż? daleko z tem zajadę! Jeżeli zabiję moją rywalkę, wpakują mnie do więzienia, a on przez cały ten czas będzie miał spokój!

— Więc zdradź go!

— Jeżeli go zdradzę, nie sprawi mi to żadnej przyjemności, nabiorę obrzydzenia do siebie, do kochanka i do męża. Z tem również zajadę niedaleko.

— Więc odbierz sobie życie!

— Ach, nie! Mój mąż byłby zanadto nieszczęśliwy!

Tak, sytuacja jest bez wyjścia. Komedjopisarz francuski uśmiecha się z łagodną złośliwością do zdradzonej kobiety i mówi między wierszami, że człowiek musi cierpliwie znosić życie z jego koniecznościami, bo na konieczności niema rady.



Bal Automobilklubu Polski zgromadził w salonach Resursy Obywatelskiej elitę towarzyską Warszawy Fot. S. Wolski

STEFAN KIEDRZYŃSKI

DOLCE FAR'NIENTE

Nie wiem czy we śnie, czy na jawie widziałem tego jegomościa, wiem jednak, że go znam. Spotkałem się z nim po raz pierwszy w okolicznościach dość osobliwych. W godzinie, która rzadko nawiedza człowieka, powiem krótko: w chwili upojenia życiem, kiedy ogarnia nas słodki, cichy spokój, a dusza nasza zdaje się wypoczywać po trudach i smutkach trwożnego dnia.

Siedziałem nad brzegiem morza, u stóp wielkiego Hotelu Vittoria, który wysoko nade mną rozpościerał swe białe mury. Zbliżał się zmierzch. Morze podobne do olbrzymiego motyla o szafirowych drżących skrzydłach połyskiwało złotem. Powietrze przepojone było jego mocnym zapachem, ciepłym a wilgotnym i chłodzącym jednocześnie. Nadchodził nie mniej cudowny od cudownego dnia, wieczór w Sorento.

Zdarzenie to bowiem, miało miejsce właśnie tam, o ile, przyznaję szczerze, wszystko co zamierzam opowiedzieć nie śniło mi się wogóle. Tembardziej, że może mnie jednemu wydawało się to czemś nadzwyczajnem.

W gruncie rzeczy taki postępek jakiego dopuścił się ów nieznajomy jegomość, może powtarzać się częściej, może co dzień i jest oceniany jako zwykły żart. Powiedzmy żart nieco gruby, niemniej nie zasługujący na to, by odpowiadać nań pogardą!

Jednakże w tej osobliwej godzinie, w której, jak wspominałem ogarnia nas rzekomy, cichy bezwład słodkiego sam na sam z marzeniem, jesteśmy skłonni oceniać postępki ludzkie mniej realnie. Bratamy się wówczas z aniołem! Czepiamy się słonecznych promieni, jak małe muszki rozigrane w powietrzu, z gwiazdami gadamy sobie odniechcenia, a księżyc wydaje się nam poczciwym księdzem proboszczem, który nas uczył niegdyś katechizmu. — Wtedy przeraża nas każdy czyn człowieka żyjącego... ot tak jak codzień! Jak zawsze! Poprostu zwykłem, swojem życiem, w którem niema nic osobliwego, które się składa z miljonów drobnych ułamków myśli, i tysięcy odrobinek małych, wątłych, bezlotnych uczuć.

I właśnie wtedy, kiedy siedziałem nad morzem pogrążony w rozkosznem dolce far'niente, zobaczyłem go! Nie wiem skąd przyszedł. Ujrzałem go odrazu gdy stał nad brzegiem morza plecami odwrócony do mnie. Pod światło wyglądał jak cień. Podobny był do ciemnej sylwety wykrojonej z deski, której używają w strzelnicach, jako najlepszy cel imitujący człowieka! Stał długo bez ruchu. Widocznie wpatrywał się w zapóźnione łódki i białe żagle yachtów, powracających do brzegu.

Chciałem być sam, miałem więc nadzieję, że nie zbliży się do mnie. Zresztą nie przypuszczałem aby mnie widział — i to mnie pocieszało. Obserwowałem go jednak przez cały czas z uwagą. Nie wiem dlaczego, ten nieznajomy człowiek interesował mnie w znacznie większym stopniu, niż każdy inny, jak przypuszczam mógł mnie interesować w tej chwili. Nie było w nim jednak nic osobliwego. Średniego wzrostu, dość nierosły mężczyzna w okrągłym hiszpańskim kapeluszu... nie przedstawiał się zajmująco. Miałem wrażenie jednak, że już go niegdyś widziałem w życiu. Czułem jakiś tajemniczy związek istniejący między mną, a tym nieznajomym. Jednocześnie byłem przekonany, że po raz pierwszy przed memi oczami wyłania się ta pospolita figura — słowem, nie znałem go — a jednak znałem!

Dziwne to uczucie wytrąciło mnie z równowagi. Dolce far'niente było skończone. Mój wzrok poszedł w ślad kroków małego człowieczka, który oddalał się coraz bardziej — zabierając z sobą zachwycające blaski iskier lśniących na szafirowem morzu — jego rozkoszny zapach, mój słodki wypoczynek, tak niedawno pławiący się w fioletowych cieniach wieczoru.

Nie mogłem jednak zapanować nad sobą. Ni stąd ni zowąd pragnąłem stać się jego cieniem. Poszedłem. Za białym budynkiem Funicolaze zniknął mi z oczu. Natychmiast

przyspieszyłem kroku. Nie mogłem już pozwolić na to, aby go *nie sprawdzić!*

Na la Piazza wszedł do małej winiarni. Wszedłem za nim.

Teraz mogłem go obejrzeć dokładnie.

Nie był stary, mógł mieć najwyżej lat czterdzieści. Ponieważ zdjął kapelusz, mogłem przypatrzeć się jego włosom. Były ciemne, nieco siwiejące, uczesane z przedziałkiem, jak u tysięcy innych mężczyzn!.. Tylko oczy miał dziwne. Wyłopiaste, śmiejące—a jednak złe. Było w tem połączeniu coś nienaturalnego i powiedziałbym przykrego, coś, co—darujcie mi—przypominało, albo raczej nasuwało myśli o... sztucznej śmierci pokazywanej w panoptikum. Uśmiech wojskowej figury, okropnej imitacji człowieka śmiejącego się w szklanem pudle, z uśmiechem zmontowanym przez mechanika raz na zawsze, aż do rozpadnięcia się wosku i szmat. Nie wiem czy dobrze tłumaczę fatalne wrażenie jakie wywarła na mnie jego twarz, ale czułem, że w tym człowieku już coś umarło, skończyło się... i odeszło od niego, coś z tych czystych i zdrowych sił życia, które człowiek przynosi na świat, a które utrzymują w nim konieczną równowagę dobra i zła.

Jednocześnie pomyślałem, że moja obserwacja, napewno nie wydaje mu się zbyt właściwą — i schyliłem głowę nad kieliszkiem vermouthu z lodem, który kelner postawił przede mną. Nie przestałem jednak szukać rozwiązania tej zagadki, jaką dla mnie samego było niespodziewane zainteresowanie się tym jegomościem.

I znalazłem! Tak. To był on! Drugi on! Drugi on!

Nieznajomy siedzący naprzeciw mnie, złym, podejrzliwym i nieufnym, lecz zawsze śmiejącym się spojrzeniem, śledził teraz każde moje poruszenie — widocznie coś go zaciekawiło we mnie i szukał wyjaśnienia.

Nagle rzucił zapytanie, głosem śmiałym, nie pozbawionym pewnej domieszki fantazji.

— Pan jest cudzoziemcem?

— Tak.

— Podoba się panu Sorento?

— Naturalnie!

— Tak. Sorento jest piękne, — potwierdził. — Zato ta tratoria jest najgorszą w całem mieście.

Nic nie odpowiedziałem.

— Wszędzie można się napić dobrego wina — tylko nie tutaj — ciągnął dalej, rzucając od czasu do czasu złośliwe spojrzenie w stronę bufetu, za którym siedział padrone, w białym fartuchu, narzuconym na koszulę i płócienne spodnie...—Ten stary łotr jest moim przyjacielem! — mówi dalej. Od dziesięciu lat uczę go jakie ma wino sprzedawać porządnym gościom — i od dziesięciu lat dolewa do niego wody!..

— Kłamiesz! — zagrzmiał w odpowiedzi głos z poza bufetu! Proszę go nie słuchać! To jest największy oszczerca i plotkarz w całem Sorento! Dwa razy pisał na mnie anonimy do policji. Każdemu opowiada, że moje wino jest najgorsze, moja oliwa stara a owoce zgniłe. I chociaż każdy może się przekonać, że to nieprawda, ten hultaj rośnie z radości widząc jak wielką mi to sprawia boleść!..

— Lecz musisz mnie przyjmować u siebie, bo gdybyś mi zabronił wejść do swej tratorji, każdyby pomyślał, że się boisz mojego zdania, o swym podłem winie!

Nieznajomy zaśmiał się z triumfem — i nagle stało się coś nieoczekiwanego.

— Doczekam się wreszcie, że się ludzie poznają na tobie — zawołał padrone ze złością i w tej chwili nieznajomy powiedziawszy: «lecz przedtem poznają się na twojem winie»,



WŁ. ZAMBRZYCKI

BUNT POGROMCY TYGRYSÓW

— Allez, allez, hopla! — krzyknął pogromca, trzaskając z bata.

Na ten sygnał, jeden z tygrysów zwinął się w kłębek, wyprostował raptownie grzbiet i skoczył przez kółko, przybrane frendzelkami z bibułki.

— Hopla! — zabrzmiał nowy rozkaz.

Następny tygrys fiknął koziołka z pośpiechem, zupełnie nie licującym z jego majestatyczną postawą.

Pogromca jeszcze raz strzelił z biczyska na wiwat i zwrócił się do publiczności:

— Voilà!

Nagrodzono go grzmotem oklasków. Istotnie, tresura była znakomita, co każdy mógł poznać po zadowolonych minach bywalców galerji.

Teraz następowała najbardziej wzruszająca faza popisu z dzikiemi bestjami. Józef Wemborek, figurujący na afiszu jako Niko Csengery, miał wetknąć głowę do otwartej paszczęki olbrzymiego „Sułtana" i trzymać tam około pół minuty. Widzów zazwyczaj dreszcz zimny przenikał, ale pogromca, pracujący w tym zawodzie od lat dwudziestu, nie czuł żadnej tremy.

— Ouvrez! — zawołał.

Trzymając głowę między dwoma półkolami zębów tygrysa, przemyśliwał właśnie nad zorganizowaniem partji bridża. Wszak „człowiek-wąż", „mister August" i „Herkules XX wieku" wyrazili zgodę. Chodzi tylko o to, czy pani Wemborkowa nie wypędzi ich sromotnie, jak to się zdarzyło przed dwoma dniami. Kobiety miewają humory bardzo zmienne.

Pół minuty minęło. Orkiestra zagrała fanfarę, pogromca wyszedł z klatki i udał się do garderoby. Zdjął granatową kurtkę z żółtemi szamerowaniami, haftowane spodnie, lśniące buty i, po chwili, ze srogiego węgra przeistoczył się w dobrodusznego cywila. „Człowiek-wąż" i „mister August" byli już również rozcharakteryzowani. Brakowało tylko „Herkulesa XX wieku", który właśnie zginał sztaby żelazne i rwał łańcuchy na arenie. Wkrótce i on znalazł się w garderobie. Zdejmując trykot, zagadnął:

— No, jak tam twoja żona, Wemborek. Będzie bridż, czy nie będzie?

— Hm, spróbujemy.

Opuścili cyrk i udali się do stojącego wpobliżu domku na kółkach. Pani Wemborkowa czekała widocznie na męża, bo wychyliła głowę z poza drzwiczek, nawołując:

— A, jesteś, ty niedołęgo! Już myślałam, że cię te drapichrósty na piwo zaciągną. Pocoś ty ich tu przyprowadził?

— Ja uciekam, — oświadczył speszony „mister August".

— I ja — dodał bardzo niepewnym głosem „Herkules".

— Tak, trzeba będzie partję odłożyć, — zgodził się pogromca tygrysów.

Koledzy rozeszli się ze smutkiem.

* * *

Nazajutrz, po przedstawieniu, Józef Wemborek nie wrócił wprost do swego ruchomego domku, lecz chyłkiem wymknął się z garderoby i pobiegł do piwiarni. Oczekiwali go tam przyjaciele oraz talja spracowanych kart.

Partja przeciągnęła się do godziny 2-ej nad ranem. Wychodząc z gospody, pogromca potknął się tuż przed progiem o zziębniętego pieska. Był to jamnik, z jednem tylko uchem, w obroży, ale bez medalika. Wziął go na ręce, wszedł do piwiarni i zapytał:

— Czyj to pies?

Nikt nie chciał się przyznać po biedaka.

— Zabiorę go ze sobą — oznajmił, tknięty współczuciem.

I zabrał. Zachowując wszelkie środki ostrożności, wślizgnął się bez szelestu do ciasnej kuchenki, położył jamnika pod ciepłym piecykiem, otulił kawałkiem szmaty, poczem, tamując dech w piersi, przeszedł do pokoju.

Żona spała.

Po chwili pogromca znalazł w ciemnościach zapałki i świecę. Zapalił, zdjął kamasze, ściągnął spodnie, ułożył je na krzesełku, gdy nagle rozległ się piekielny hałas. Buda zadrżała, resory jęknęły, a nad wszystkiem górował brzęk tłuczonego fajansu.

Pani Wemborkowa wyskoczyła z łóżka.

— Co to?

Wbiegła do kuchni i wydała okrzyk zgrozy. Szafka zastępująca kredens, leżała na ziemi wśród rozbitych talerzy, półmisków, filiżanek, kufli i całego mnóstwa innego dobytku. Na szafce siedział jamnik, ogryzając zapamiętale ćwiartkę cielęciny.

Jednem kopnięciem bosej nogi niewiasta wyrzuciła go za drzwi, następnie złapała pogrzebacz i, promieniując gniewem, przemówiła do męża w sposób wykluczający wszelkie wątpliwości co do dalszego ciągu.

Przerażony pogromca musiał szukać ocalenia w ucieczce. Bez butów i bez spodni wyskoczył z rodzinnego gniazda, przebiegł przez pusty plac, wpadł jak szalony, do stajen cyrkowych i ukrył się w klatce z tygrysami. Zaledwie zdążył zatrzasnąć za sobą furtkę, gdy ukazała się małżonka.

— Sprobuj no wyjść, jeżeli cię strach nie obleci! — krzyknęła.

Pomamrotawszy jeszcze około kwadransa, odeszła.

Pogromca odetchnął z ulgą. Ostatecznie mógł w klatce przespać się do rana, a później zaopiekują się już nim koledzy, w razie potrzeby — nawet sam dyrektor.

Tygrysy, zdziwione nagłem pojawieniem się mistrza, popodnosiły pyski i jęły spoglądać nań pytająco.

— Sułtan, tu! — przemówił Wemborek.

Zwierzę położyło mu łeb na kolanach. Objął oburącz ciepłą, puszystą szyję i szeptał faworytowi coś do ucha. Żalił się długo, na zły los, na żonę, na ciągłą poniewierkę.

Sułtan mruczał, jakgdyby odczuwając troski swego pana. Wysunął różowy język i liznął go po twarzy.

* * *

O godzinie 6-ej rano chłopiec stajenny zastał pogromcę śpiącego między tygrysami. Zdziwił się jeszcze bardziej skoro skonstatował, że pan Wemborek jest bez spodni a na nogach ma zabłocone skarpetki.

— Hej! — krzyknął.

Ale pogromca kazał mu iść precz, przytulił się do Sułtana i zachrapał. Dopiero o godzinie 8-ej przebudził się na dobre. Posłał chłopaka po kawę do bufetu, lecz z klatki nie wyszedł.

Raptem do stajni wbiegł zdyszany «Herkules XX wieku». wywijając gazetą, wrzeszczał:

— Wemborek, Wemborek, zarobiłeś sto złotych!

Ujrzawszy pogromcę, podał mu dziennik przez sztachety.

— Czytaj, o tu, drobne ogłoszenie.

W wąskiej szpalcie rzucały się w oczy słowa: «Nagroda 100 złotych», a dalej tekst: «Zginął jamnik podpalany, bez lewego ucha, wabi się Toto. Za odprowadzenie 100 złotych nagrody. Zawiadomić telefonicznie: 26-C8».

Pogromca ryknął tak potężnie, że aż tygrysy pochowały ogony. Wyskoczył z klatki, w kilku susach dopadł garderoby i ubrał się w najparadniejszy uniform węgierski.

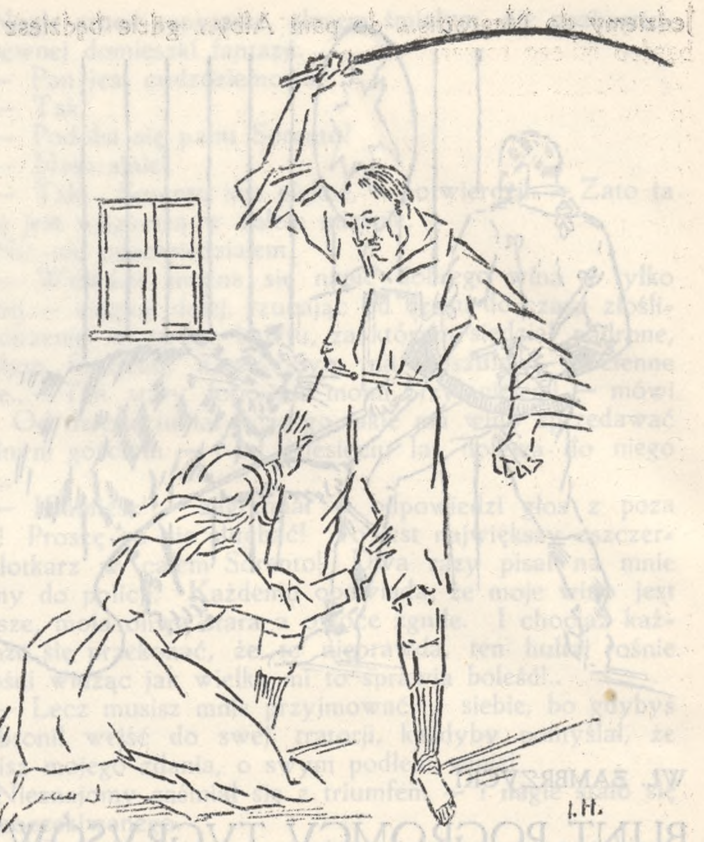
— Podajno mi mój pejcz, ten z byczej skóry:—zawołał na chłopaka.

Wystrojony jak na galowe przedstawienie, wziął gazetę i pewnym krokiem podążył do swego domku. Nie zawahał się na schodkach, o nie: Pchnął drzwi z impetem, strzelił z bata, a co się dalej działo, to już pozostanie w sferze domysłów.

«Herkules», «człowiek-wąż», «mister August», nawet dyrektor cyrku, nie wyłączając reszty personelu, stanęli dokoła budki i słuchali. A wewnątrz wciąż słychać było trzaskanie bicza, płaczliwy głos kobiety i gromkie okrzyki Wemborka:

— Allez! Hopla!

Po chwili na schodach ukazał się triumfujący pogromca. Trzymał za rękę żonę, złamaną, potulną jak owieczka.



— Voilà!

Odpowiedziano mu grzmotem serdecznych oklasków.

W pamiętnym owym dniu tygrysy otrzymały podwójną porcję ochłapów.

✱ ✱ ✱



GIUSEPPE ADAMI

WINOBRANIE

«Śpisz, maleńki?»

«Nie, proszę pani».

«Zmęczony jesteś?»

«Nie, proszę pani».

«Dlaczego nazywasz mnie «panią»?»

«A jak mam mówić?»

«Mów do mnie «mamo», maleńki».

«Nie mogę, proszę pani».

«Cóż znowu!.. Dlaczego nie możesz?»

«Bo mama umarła».

Pociąg sunął wolno dalej wśród złota zżętych pól, rytmiczną melodją kół usypiając znużonych podróżnych.

W przedziale było dość swobodnie, jednak nieznośny upał dawał się wszystkim we znaki. W kącie przy oknie drzemał młody robotnik. powracający z całodziennej pracy do żony, która wypoczywała jeszcze na «letniakach», tuż obok gruby obywatel ziemski podkręcał z zapałem sumiastego wąsa, stary wieśniak przyodziany mimo upału w krótki cuchnący kożuszek i wiejski ksiądz o ruchliwej, czerstwej twarzy prowadzili przyciszoną rozmowę.

«Takiej gorącej jesieni nie pamiętam od 94 roku...»

«Kiedy u jegomościa winobranie?»

«Jutro...»

«Zmęczony jesteś, maleńki?.. Za dziesięć minut będziemy na miejscu».

«Gdzie?»

«Jakto, gdzie?»

«No tak: gdzie?»

«Przecież mówiłam ci dziś rano...»

«Tak, ale nic już nie pamiętam».

Pani Luiza nie mogła ukryć przykrego zdziwienia.

«Święty Boże!.. Jesteś nieuważny, mój chłopcze! Nic nie pamiętasz? Wszakże godzinę prawie mówiłam ci o tem?»

Jedziemy do Negrottis... do pani Alby... gdzie będziesz miał bardzo miłego towarzysza...»

Robert pamiętał wszystko doskonale, ale wolał udać, że nic sobie nie przypomina. Pragnął raz jeszcze usłyszeć tę historję pełną pięknych projektów i ponętnych obietnic, raz jeszcze pragnął uczuć ten dziwny ból w sercu, gdy pani Luiza mówić będzie o rzeczach wesołych... Robert doskonale wszystko pamięta, pamięta wybornie: Pani Luiza, dawna sąsiadka, zabrała go do siebie przed miesiącem, właśnie tego dnia, gdy mama umarła. Ale czemuż potem nie pozwolono wrócić mu do opuszczonego, ciemnego mieszkania, skąd mamę wynieśli czarni, obcy ludzie o ponurych twarzach? Robert wiedział dokąd ci ludzie mamę zanieśli. I znał dokładnie to miejsce, na którem złożono trumnę, aby ją potem zakopać w mokrej ziemi cuchnącej stęchlizną. A dlaczego ojciec od dnia tego nie zjawił się więcej?..

«Pani Luizo... powierzam pani mego małego... wrócę niedługo...»

I nie wrócił dotychczas!

... Interesy... Tak, interesy... Ale czemu nie wraca?.. I dlaczego mieszkanie ciągle zamknięte?.. W kilka dni po śmierci mamy Robert spotkał na schodach dwóch panów, którzy przylepili na drzwiach zamkniętego mieszkania rodziców dwie wielkie czerwone pieczęcie. Dlaczego pieczętują drzwi mieszkania, w którem ktoś umarł?..

A potem przemówienie pani Luizy:

«Wiesz, chłopcze... wyjeżdżamy dziś po obiedzie na wieś. Jutro winobranie... Rozerwiesz się trochę. Będziesz mógł zjeść, tyle winogron ile sam zechcesz. Pani Alba, przyjaciółka biednej twojej mamy ma synka, który jest w twoim wieku, nazywa się Filip. Napewno zostaniecie przyjaciółmi. Nie masz pojęcia jak uroczyście obchodzą na wsi święto winobrania! Dziewczęta i chłopcy z całej wsi przychodzą z mandolinami i gitarami... tańczą i śpiewają całą noc pod gołem niebem. Zobaczysz jak będzie wesoło!..

I czemuż, czemuż on się nie cieszył?.. Dlaczego opis tylu pięknych i nieznanych rzeczy, które tam nań czekać miały sprawiał mu tylko jakiś ból dziwny połączony z gniewem nawet? Dlaczego słowa pani Luizy mieszały się dziwnie w jego głowie z wizją czarnej trumny, z woskową martwą twarzą mamy i z dwiema wielkiemi czerwonemi pieczęciami na drzwiach pustego mieszkania?..

I dlatego pewno skłamał. Dlatego powiedział: «nic nie pamiętam», aby przekonać się czy ten sam ból i ta sama wizja wrócą jeszcze. Taki dziwny zapach wosku i więdnących kwiatów... Tak. Ale ona zajmująco opowiadać potrafi, ta pani Luiza... Śpiewy, tańce, dźwięki harmonji. A Robert widział tylko przed sobą pożółkłą twarz ojca i słyszał tylko ostatnie jego słowa....

«Pani Luizo... powierzam pani... wrócę niedługo...»

I więcej nie wrócił...

* * *

«Czy chcecie wyjść trochę, chłopcy?»

Wahali się chwilę, przyglądając się sobie nawzajem z intuicyjnym brakiem zaufania. Milczeli.

«On taki nieśmiały!..» zauważyła pani Luiza.

«Zaprzyjaźnią się bardzo szybko...» zapewniała pani Alba. «Filipku, jako gospodarz zaprowadź Robertka do ogrodu, oprowadź go po stajniach i pokaż mu wszystko, coby go interesować mogło».

Zachęciło to Filipa, czuł się przecież panem domu i właścicielem tylu rzeczy, które mama wyliczyła przed chwilą. Podszedł z dumą do gościa i rzekł niedbale:

«Chodź ze mną to ci wszystko pokażę».

Wyszli.

«Niechże mi pani teraz opowie wszystko», prosiła pani Alba, a czarne jej oczy pałały zaciekawieniem. «Wie pani przecież, że u nas tak trudno o sensację».

Pani Luiza czekała tylko chwili, kiedy będzie mogła mówić wreszcie swobodnie:

«Ach! Droga pani Albo!.. Co za straszna tragedja!. Jaki cios!.. Dziś nawet piszą o tem w gazetach. Do wczora jeszcze sądziłam, że to wszystko nieprawda. Ale bomba wybuchła! Sto tysięcy lirów... sto tysięcy lirów skradziono w Banku Rolnym...»

«Czy go szukają?»

«O! Teraz! Uciekł!.. w parę godzin po jej śmierci przyszedł do mnie, prosząc o zaopiekowanie się małym. Któżby się wówczas spodziewał? Szczęście, że ta biedaczka umarła... Ona, która życie całe dla niego poświęciła... Zdawało się, że przy takich stosunkach za parę lat... Dzisiaj rano po przeczytaniu w gazecie o tym skandalu ogarnęła mnie rozpacz... rozpacz o dziecko... Nic nie można wiedzieć... przypadek... ktoś, kto mógłby szepnąć... Martwiłam się strasznie i dlatego chętnie przyjęłam zaproszenie pani, moja droga. Tomyślałam, że należałoby się wspólnie zastanowić, co czynić dalej...»

* * *

Chłopcy szli w milczeniu szeroką ogrodową aleją. Nad doliną snuły się pierwsze cienie zapadającej nocy, opasując władczemi ramionami wierzchołki smukłych wyniosłych drzew. Dzwony wiejskiego kościołka prowadziły smutną jakąś gawędę z cichym poszumem jesiennego wiatru, szeleszczącego w pożółkłych liściach żywopłotu. Gdzieś w oddali zabłysło nikłe światełko, jakgdyby samotnością dumne i wątłym blaskiem panujące nad resztą ciemnych chat wiejskich.

«Czy chcesz wejść na ten pagórek?», zapytał Filip.

«Tak».

Wspięli się zręcznie i patrzyli z zachwytem wokoło.

«Widzisz?..» odezwał się Filip. «Wszystkie te pola, aż do tego światełka tam w dole należą do mnie... Z drugiej strony posiadłość nasza ciągnie się aż po sam cmentarz...»

«Czy cmentarz też należy do ciebie?..»

«Idjota!»

Robert umilkł, zagryzając wargi. Naiwnie rzucił to pytanie, nie mając zupełnie zamiaru urazić tamtego, który miał podobno być jego przyjacielem. Przyszło mu tylko na myśl, że on przecież ma cmentarz, który należy do niego, od czasu, gdy mamę tam położono.

Zeszli z pagórka w milczeniu i kroczyli wolno tą samą szeroką aleją. Filip zatrzymał się nagle. Od chwili gdy zostali sami, paliło mu wargi pytanie, którego jednak nie miał odwagi wypowiedzieć:

«Czy to prawda, że twój ojciec jest złodziejem?»

Twarz Roberta posiniała. W sercu uczuł dotkliwy ból jakgdyby ktoś zimną, ostrą stal zanurzał mu w piersi. Zacisnął dłonie. Nie mógł wymówić ani słowa, wreszcie charkot jakiś dobył się z przepełnionej łzami krtani:

«Kto ci o tem powiedział?.. kto ci o tem powiedział?..»

Filip stał spokojnie, nie czuł ani odrobiny lęku.

«Mówili o tem dzisiaj... gdy czekali na was... Byłem w sąsiednim pokoju i wszystko słyszałem».

«Kto mówił?..»

«Jakiś pan rozmawiał z moją mamą».

Nie dokończył odpowiedzi, bo Robert jednym skokiem rzucił się nań i przewrócił na wilgotną trawę: silne dłonie zacisnęły się dokoła wątłej szyi Filipa. Walka była krótka, lecz straszna. Filip próbował uwolnić się z kleszczowych objęć przeciwnika, wreszcie krzyczeć zaczął rozdzierającym głosem. Obydwie panie przybiegły na ratunek.

«Jezus! Co się stało!.. Kto cię tak poranił?..»

Zasypano chłopca pytaniami:

«Kto to był? Powiedz! Kto taki!..»

«Robert!»

«Robert?»

«Tak... zupełnie niespodzianie... nic mu takiego nie mówiłem... wskoczył mi na plecy... O tak!.. Odrazu... Nikczemnik!..»

«Ach!..»

Okrzyk ten dobył się z piersi pani Luizy.

«Gdzie on jest?.. Gdzie on jest?..»

Przebiegła cały niemal ogród, wołając drżącym głosem: «Robert! Robert!..»

Nagle potknęła się o coś na wąskiej ścieżce. Chłopak siedział na ziemi bez ruchu.

«Ach, jesteś więc!.. Wstań i mów!.. Wstań natychmiast!»

Robert podniósł się leniwie, nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Szeroko rozwarte wielkie jego oczy patrzyły odważnie przed siebie.

«Coś zrobił Filipowi?»

«Zbiłem go!»

«Dlaczego?..»

«Nie wiem».

Prosta, wyraźna odpowiedź zmieszała nieco panią Luizę, «Ach, więc sam nie wiesz?.. Tak się odwdzięczasz za gościnność?.. Tak odpowiadasz tej, która cię z ulicy wzięła, abyś nie zginął marnie, jak pies?!..»

«Tak, proszę pani». odparł Robert ostro, spoglądając wyzywająco w twarz swej opiekunki.

Mocny policzek nie pozwolił mu dokończyć zaczętego zdania.

«Oto masz to, na co zasłużyłeś w tej chwili!.. Resztę w domu dostaniesz!..»

Odgłos kroków oddalał się coraz bardziej. Robert pozostał sam. Zabłysło światło na niższych piętrach willi... Lecz Robert nie o tem świetle myślał... To małe nikłe światełko nie płonie teraz, a w sercu ból zwiększa się z każdą chwilą, tak jakby ktoś kamień włożył zamiast serca... W całej willi zaległa cisza... Nikt go szukać nie będzie i nikt się nie spodziewa, że on nie wróci więcej... Tak samo, jak ojciec... Interesy... tak, interesy... Pani Luizo... powierzam pani małego... bo ja... bo ja... Ktoś zawołał:

«Bo jestem złodziejem!..»

Obejrzał się wokoło. Ciemno. Nikt nie mówił przecież... ale wiedzą wszyscy... nawet Filip... A tam zdaleka melodja jakaś... harmonja i gitara. To wieś ciągnie na winobranie... Zbliżają się wielkimi krokami... Dużo ich być musi. Czyżby i oni wiedzieli?.. Napewno wiedzą... wiedzą, że ojciec jego jest złodziejem... A tu są drzwi... i ciemne schody... Z której strony cmentarz?..

Tak!.. Jedno wątłe samotne światełko... Czemuż nie miałoby płonąć na małym wiejskim cmentarzu?..

«Mamo! Mamusiu!»

Z rozwartemi ramionami począł biec szybko przed siebie na spotkanie błędnego ognika.

Przekład *Janiny Krasuckiej.*

Druk. Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.





„... bo kobiety są, jak kwiaty”

w moich oczach wyjął z kieszeni małego, zdechłego robaka i wrzucił go do szklanki, która stała przed nim.

— Oto jakie wino sprzedają w tej tratorii — zawołał prawie jednocześnie pokazując swoją szklankę dwum wchodzącym gościom. Czy nie powtarzam od kilku lat — żeby tu nie chodzić?

Wszyscy trzej, zajrzawszy do szklanki, zaczęli wymyślać oniemiałemu ze zdumienia gospodarzowi, poczem wyszli razem na ulicę, śmiejąc się głośno.

Teraz zrozumiałem dlaczego szedłem za tym człowiekiem. To był drugi On... Poznałem go.

Spojrzałem na gospodarza. Stał oparty o bufet z założonemi na piersiach rękami.

— Ach ladrone, porca, mascalzone!..—mełły jego wargi prawie bez głosu, podczas gdy jego oczy zwrócone na mnie, pełne jeszcze były niewypowiedzianego zdumienia.

Gdy płaciłem za swój vermouth — zapytał mnie, głosem, który ledwie przeciskał się przez ściśnięte gardło.

— Pan mu wierzy?

— Cóż znowu — zaprzeczyłem. Widziałem przecież jak wrzucał robaka do szklanki z winem... A nawet gdybym nie widział, czyż mógłbym mu wierzyć?...

— Pan go zna?

— Jego nie, ale znam podobnego, bardzo podobnego do niego — odpowiedziałem. I znam wielu innych podobnych do niego!

Znamy ich wszyscy!...

I niewątpliwie był to mój dobry znajomy. Jeden z tych, o których się nie zapomina — nigdzie i nigdy, nawet siedząc nad brzegiem morza w cudownem Sorento. A może wogóle to wszystko co wydało mi się męczącą rzeczywistością, było tylko jednym z tych pół-snów, pół-widzeń, które przychodzą do nas w cichy i pogodny wieczór, gdy przeżywamy powrotne fale różnych wspomnień — i pragniemy z głębi swych serc, aby życie nasze było tak piękne, jak piękną jest nasza imaginacja, w chwilach niczem nie przerwanego marzenia.



„Pomoc" w pracy



Wdzięczny model



Artyści u siebie w domu
Artysta-malarz Stefan Norblin z małż. p. Marją (na scenie - Modzelewską) przy filiżance herbaty

JAWA

Na oceanie Indyjskim jest wyspa, na której rodzą się najpiękniejsze ananasy, pomarańcze i banany.

Niewielu jednak wie, że z wyspy tej pochodzą również najlepsze ziarna kakaowe, których cena jest jednak tak wysoka, że nie mogą one mieć szerokiego zastosowania.

Dążąc stale do polepszenia naszych wyrobów, postanowiliśmy wyprodukować nowy gatunek czekolady, używając do niej tych właśnie ziaren kakaowych z wyspy Jawy.

Otrzymaliśmy towar, przewyższający smakiem i aromatem wszystkie ogólnie znane gatunki czekolady. Jedna próba wystarczy, aby się o tem przekonać.

Czekolada „J A W A“

Fuchs







Fot. St. Brzozowski



ZULA POGORZELSKA

W galerji ulubieńców i ulubienic Warszawy jedno z pierwszych bezsprzecznie miejsc należy się Zuli Pogorzelskiej. Początek jej popularności datuje się przed pięciu laty, gdy na scenie teatru «Qui=pro=quo» rozpoczęła ona odnosić sukcesy jeden po drugim.

Jej ambicji aktorskiej zawdzięcza w znacznym stopniu swe powstanie teatr «Perskie Oko». Tutaj Zula stała się rzeczywiście duszą teatru, stanowiąc równocześnie największą atrakcję dla publiczności. Dłuższa nieobecność Pogorzelskiej w Warszawie nie zmniejszyła jej popularności. Na jej produkcjach w rewji «Nowości» ześrodkowuje się uwaga krytyki, jej numery są najgoręcej oklaskiwane przez publiczność.

W piosence Zula Pogorzelska stworzyła swój genre, wielokrotnie naśladowany zawsze jednak bez powodzenia. Tajemnica bowiem powodzenia Zuli leży nietylko w umiejętnym doborze repertuaru, lecz w niezwykłem skojarzeniu wdzięku niewieściego z temperamentem scenicznym. Brawurowo przez nią wykonywane piosenki w bardzo krótkim czasie przenikają poza mury teatru i obiegają kraj cały, nadając ton w przeciągu całych miesięcy.

Główny nacisk kładąc na piosenki, Zula Pogorzelska jest równie dobra w rolach wodewilowych i, kto wie, być może w przyszłości zabłyśnie, jako wielkiej miary artystka komedjowa.

SYLWETKA MĘSKA 1928 ROKU

Co rok powstaje typowa sylwetka męska, którą adepci mody naśladują w najdrobniejszych szczegółach.

Ostatnie lata, twórcą obowiązującej mody jest najczęściej książę Walji, dzięki bardzo rozpowszechnionym jego fotografjom, również dzięki ludziom przebywającym w jego otoczeniu linja lansowanej przez niego mody bywa adoptowaną przez świat elegancki.

Otóż w 1928 r. obowiązuje specjalnie elegancki strój, o wyglądzie zupełnie «Correct», więc przedewszystkiem moda dąży do zniesienia niemożliwego miękkiego kołnierzyka, który zawsze ma charakter negliżowy, sztywny kołnierzyk będzie obowiązujący. Sylwetka męska zatraci sportowy wygląd, do którego przyzwyczailiśmy się.

Krój marynarki nie uległ zmianom. Marynarka powinna posiadać szerokie wyłogi, zapinać się na dwa guziki, a u wylotu rękawów posiada konieczn nie 4 guziki. Najmodniejszym kolorem jest marengo, popielaty i ciemno-stalowy.

Krój palta uległ pewnym zmianom, a mianowicie, palto będzie krótsze i będzie posiadało aksamitny kołnierz ciemniejszego odcienia, niż kolor palta — najmodniejszym kolorem będzie również marengo, popielaty we wszystkich odcieniach i ciemno-stalowy.

Czarne lakierki będą powszechnie noszone. Kolorem skarpetek, używanych przy lakierkach, będzie przedewszystkiem kolor czarny, niebieski i popielaty.

Bielizna tylko biała. Kolorowe koszule niedopuszczalne. Krawaty zależne od gustu.

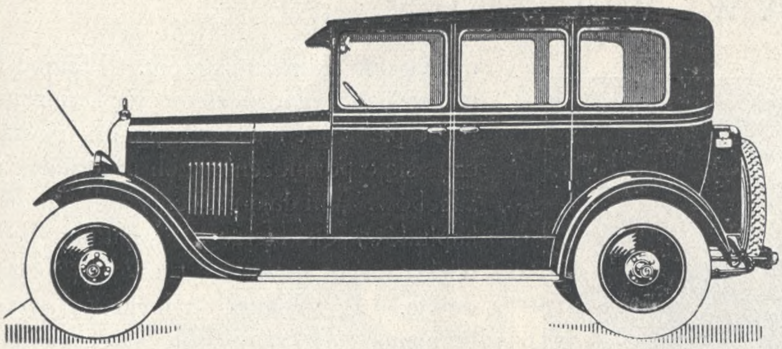
Rok 1928 będzie rokiem rehabilitacji parasola. Panowie nie będą już zmuszeni moknąć na deszczu. Wszechwładna bowiem moda rehabilituje parasol, który był zniesiony przez fałszywy snobizm.

Na zakończenie powiemy, iż wogóle sylwetka męska 1928 r. będzie to sylwetka smukła, gibka i elegancka.

S. S.



Władysław Szczawiński
utalentowany artysta operetkowy, obchodził uroczyście jubileusz 25-lecia pracy scenicznej



CITROËN

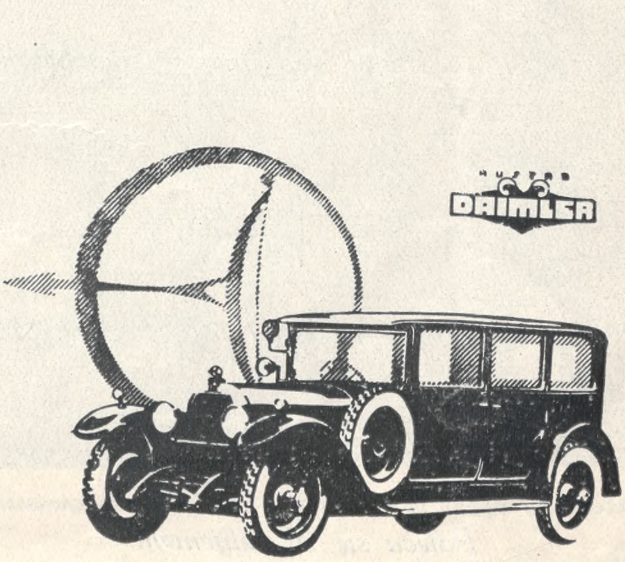
OLBRZYMIA PRODUKCJA
FABRYK
CITROEN
W PARYŻU, MEDJOLANIE,
LONDYNIE I KOLONJI
JEST GWARANCJĄ
JAKOŚCI TEJ MARKI

JENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO:

AUSTRO DAIMLER

WARSZAWA, WIERZBOWA 6

AUSTRO DAIMLER TYP A·D·R
NAJBARDZIEJ NOWOCZESNY
SAMOCHÓD ŚWIATA,
ZAPEWNIA
ZUPEŁNE BEZPIECZEŃSTWO
JAZDY



WŁADYSŁAW WALTER

Niejedną prawdziwie wesołą chwilę zawdzięczamy temu rubasznemu talentowi komicznemu, który nosi imię Waltera. P. Walter był oklaskiwany w operetce, w farsie, przesuwał się nawet przez komedję i rozradowywał nas w repertuarze kabaretowym. Posiada mile brzmiący bas, którego jednak używa rzadko. Ot! zanuci czasem jakby od niechcenia, jakąś piosenkę, przyczem ku swojej satysfakcji, a naszemu zadowoleniu, wyciągnie jedną głęboką nutę, za którą zbiera gęste brawo i natychmiast wraca do jowialnej pogawędki. Bo zasadniczą cechą komizmu p. Waltera jest jowialność. Zmuszając do śmiechu innych, sam lubi się uśmiechać. Jako artysta należy do kunsztmistrzów. Przyniósł na ten padół płaczu złota żyłę komizmu i czerpie z niej, jak z kapitału, troszcząc się o pomnożenie tych naturalnych zasobów. Inni dają procenty od swoich kapitałów, on bierze z kapitału, powiększanego przez artystyczną hodowlę. P. Walter zależy od natchnienia. Tę samą rolę gra jednego wieczora wyśmienicie, innym razem znów znacznie słabiej. Jego gra zawsze posiada urok niepodrabianej wibracji życia. Temu może najbardziej zawdzięcza wielką sympatję, jaką ma u publiczności. P. Walter należy do najpopularniejszych artystów warszawskich.



Fot St. Brzozowski

Władysław Walter, występuje w „Perskiem Oku"



Letni taras restauracji-kawiarni „GASTRONOMJA"

«GASTRONOMJA»

Aleja 3-go Maja z otwarciem odbudowanego mostu ks. Poniatowskiego stała się jedną z najbardziej ożywionych arterji stolicy i ulubionem miejscem spacerów.

W związku z tem stała się niezwykle popularna zarówno restauracja, jak i kawiarnia «Gastronomja» przy zbiegu Alei 3-go Maja z Nowym Światem. Sale restauracyjne, posiadające stałą doborową publiczność, są bardzo chętnie uczęszczane przez wzgląd na wyborną kuchnię i taniość jedzenia w stosunku do wysokiej jego wartości.

W godzinach popołudniowych i wieczornych przepełnione są salony górne, mieszczące wykwintnie urządzoną kawiarnię.

Tutaj, poza doskonałymi napojami i wyrobami cukierniczemi, wielką atrakcją dla publiczności jest pierwszorzędny zespół koncertujący codzień od 6-ej ppoł. do 2-ej w nocy Lewaka i Mutzmana.

Ponadto codziennie odbywają się solowe popisy europejskiej sławy wirtuozów: Constantina Vladescu na cymbałach i Alberto Selitti na banjoli.

Warto przytem zaznaczyć, że produkcje orkiestry «Gastronomji» są transmitowane przez Polskie Radjo na Polskę całą.



Letni taras restauracji-kawiarni „GASTRONOMJA" *Fot. J. Malarski.*





Olive Bordeu,
jedna z najbardziej w Ameryce popularnych gwiazd filmowych.





Redakcja i Administracja: Czackiego 8, tel. 525-85.

Konto P. K. O. 16190.

Z kierownikiem wydawnictwa porozumieć się można codziennie w godz. 3—4 popoł. Telefon 407-12.

Prenumerata wraz z przesyłką: półrocznie zł. 9, rocznie zł. 18.

Cena ogłoszeń:
1 strona zł. 800;
1/2 strony zł. 450;
1/4 strony zł. 250.
Ogłoszenia wielobarwne o 50% drożej.

Redakcja: WACŁAW GRUBIŃSKI, IGNACY KOŁŁUPAJŁO. Wydawca: «BEKA» Sp. z o. o.
Część nakładu wydrukowano na wykwintnym papierze kredowym. Klisze jedno i wielobarwne i druk Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.



KLISZE JEDNO I WIELOBARWNE I DRUK ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI I S-KA, WARSZAWA, CHMIELNA 61.
Drukowano na papierze kredowym Tow. Akc. J. FRANASZEK, Warszawa.